

Rok XXX

Nr e-120 (316)

Październik 2016

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Borowy Jar w kolorach złotej jesieni	Krzysztof Gdula	3
Pałac Burghausów w Sułowie	Janusz Szulc	6

OJCZyste SZLAKI

Dwa parki nad Wisłą	Tomasz Kowalik	7
Mennonici znad Wisły	Juliusz Wysłouch	8
Wilno	Elżbieta Lisiecka	10

GLOBTROTER

Andyjska Patagonia (3)	Mieczysław Zaręba	11
Carpobrotus edulis na Promontorium Magnum	Mirosław J. Barański	12
Dania i Niemcy Północne – miasta Hanzy	Elżbieta Lisiecka	15
Ponura pamiątka z wieży kościoła w Münster	Ryszard M. Remiszewski	18
Sobór Włodimirski	Janusz Fuksa	20

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Bliżej Karkonoszy w Domku Myśliwskim	Zbigniew Piepiora	22
Siedemnasty zajazd na Wielkopolsce	Tomasz Kowalik	24
Nowości krajoznawcze Polski!	Janusz Zaremba	26
To już trzynasty raz	Maryla Gołaszewska	27
Lubiatowo – Dębki	Maria Chróścicka	29

EKOLOGIA NA SZLAKU

Rośliny Przedgórze Sudeckiego (2)	Jerzy Załęski	31
---	---------------------	----

PORADNIK TURYSTY

Orla Perć – „Zabójczy szlak” (2)	Juliusz Wysłouch	32
--	------------------------	----

SYLWETKI NA SZLAKU

„Wuj”. czyli krajoznawca i współtwórca RTK (1)	Tomasz Kowalik	34
Wspomnienie o zmarłych (3)	Andrzej Rumiński	36

RECENZJE, NOWOŚCI

Dwie Damy Królewskiego Pałacu „Nowy Dwór” w Kowarach ...	Zbigniew Piepiora	37
Jak Gdańsk nawiązuje do 19-wiecznej tradycji	Janusz Zaremba	38
Przewodnik do rozpoznania roślin i zwierząt na wycieczce	Andrzej Rumiński	38
Tego jeszcze nie było!	Janusz Zaremba	39
Skąd jestem	Barbara Sidorowicz	40

Na okładce: Jesień we Wrocławiu. Fot. Ryszard Bocheński

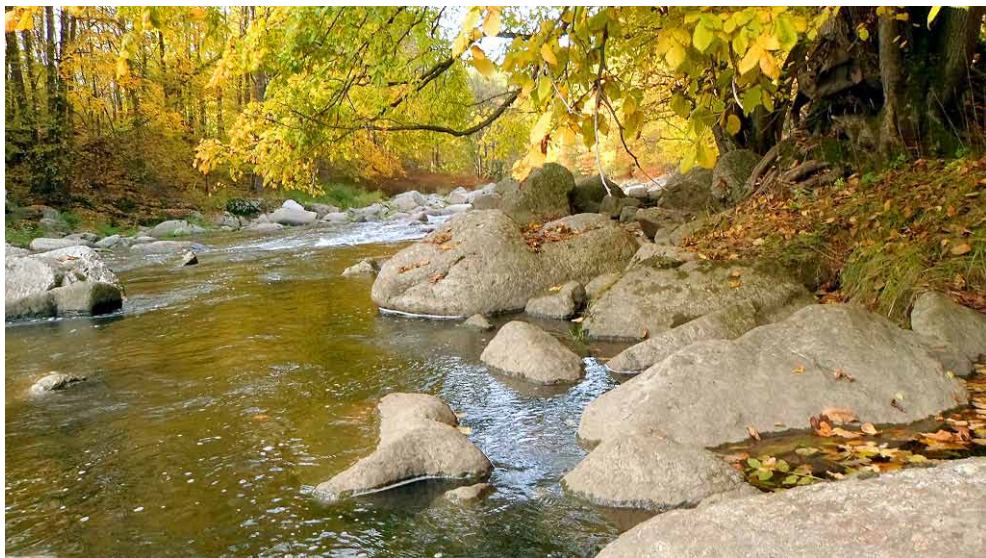
Borowy Jar w kolorach złotej jesieni

Gdybym sprawdził prognozę pogody w piątek, zapewne wybrałbym inną trasę, ale w czwartek zapowiadali duże zachmurzenie, uznałem więc, że dobry to będzie dzień na poznanie lasów między Jelenią Górą a Siedlęcinem, a już szczególnie zachwalanego Borowego Jaru. Aura mile mnie zaskoczyła (synoptyków zapewne bardziej): na długo przed obudzeniem się Eos widać było, że dzień będzie słoneczny. W czasie jazdy znowu widziałem Wenus; nie była tak wielka jak poprzednio, ale nadal przyciągała wzrok urodą i jasnością. Pojechałem do Jeleniej Góry, na parkingu przed wielkim marketem zostawiłem samochód; oczywiście wracałem nie mając pewności, że wyłączyłem światła, a niewiele minut po siódmej zostawiłem domy miasta za sobą, idąc stokiem wzniesienia Gapy. Zgodnie z mapą, na brzegu lasu jest punkt widokowy, chyba wyjątkowy, skoro nosi nazwę: Złoty Widok. Czas wyliczyłem dobrze, bo w kwadrans po moim dojściu na miejsce weszło słońce, udowadniając adekwatność cech miejsca do nazwy.

Będąc tam nie stoi się wysoko, ale widok ma się rozległy: niżej miasto, wyżej i wokół niego Karonosze, Rudawy i Góry Kaczawskie, a wschodzące słońce na wprost. W powietrzu wisiała delikatna mgiełka, która, trafiona słońcem, zabarwiała niebieskości dali kolorami wschodu. Próbowałem uchwycić aparatem te subtelne i piękne zmiany kolorów, ale po obejrzeniu zdjęć stwierdziłem, że ja widziałem je ładniejszymi niż aparat.

Kręciłem się tam długo, zmieniając miejsca, patrząc w dal przez bajecznie kolorowe liście buków i robiąc zdjęcia; trudno mi było tak po prostu odwrócić się od słońca i wejść między drzewa lasu. Gdy w końcu zdecydowałem się, trochę lasem, trochę szosą, doszedłem do Siedlęcina; średniowieczna wieża mieszkalna, chluba wioski, była już otwarta. Kupiłem bilet, dwoma zdjętymi swetrami wypchałem plecak i wszedłem do środka. Potężne, kamienne mury; oryginalne, kilkusetletnie, drewniane stropy; komnaty wielkości paru sporych mieszkań w bloku; skomplikowane belkowanie dachu wysokiego na parę pięter. Nie wyblakłe, chociaż szacowne wiekiem, malowidła ścienne, a właśnie ta drewniana, wielce rozbudowana konstrukcja dachu zrobiła na mnie największe wrażenie. Obiektem zajmuje się lokalna fundacja; niech się jej dobrze wiedzie, bo warto dbać o tak stary i rzadki u nas zabytek. Przy wejściu otwierano stragany, na jednym ze stoisk kupiłem... ciastkowego podgrzybka łudząco podobnego do oryginału. W smaku okazał się też udany. Dla zainteresowanych podaję jego szczegółowy opis. Otóż kapelusz miał okrągły, wypukły i brązowy; kolor dobrany idealnie, prawdziwy brąz podgrzybkowy, a smak taki... słodko-ciastkowy. Pod kapeluszem była, jak to u podgrzybków, delikatnie seledynowa warstwa czegoś, co kojarzyło mi się z budyniem. Noga, lekko wygięta i pogrubiona u dołu, też była z ciasta, ale twardszego od ciasta kapeluszowego, czyli tak, jak być powinno. Na końcu poproszona... ziemia? Sprawdziłem w sposób nie zostawiający wątpliwości, bo organoleptycznie: to był mak. Sprzedawcy ni gratuluję pomysowości i perfekcji wykonania.

Miałem nadzieję, że zobaczę z bliska urządzenia



Bóbr i kolory jesieni

elektrowni wodnej stojącej w wiosce, nad Bobrem, bo takie miejsca są dla mnie czarodziejskie, ale teren ogrodzono. Kilometr dalej jest druga elektrownia, też ogrodzona, przy jej bramie kończy się droga, za nią zaczyna się Borowy Jar. Z jednej strony rzeka, z drugiej strome, miejscami prawie pionowe, stoki; szlaku ani ścieżki nie ma. Zapytałem przechodnia, usłyszałem o ścieżce między garażami prowadzącej w poprzek góry, na drugą stronę.

– Jak się zna drogę, to się przejdzie – dodał na końcu.

Poruszyły mną te słowa. Siedemdziesiąt już dni łączę po tych górach, a mam nie znać tego przejścia?? Poszedłem. Garaże znalazłem, a za nimi... dwie ścieżki. Jak on mówił? W poprzek góry, o tej porze iść na słońce. Poszedłem prawą ścieżką. Po stu metrach doszedłem do skrzyżowania w kształcie litery T, na nim kończyła się moja dróżka. Kręciłem się wokół próbując znaleźć jakieś ślady, w końcu poszedłem na przełaj. Po kwadransie trafiłem na przecinkę pod linią energetyczną. Najbliższy słup stał na szczycie wzniesienia, za nim przewody stromo opadały – zaintrygowany podszedłem i... ojej, jak tutaj ładnie!

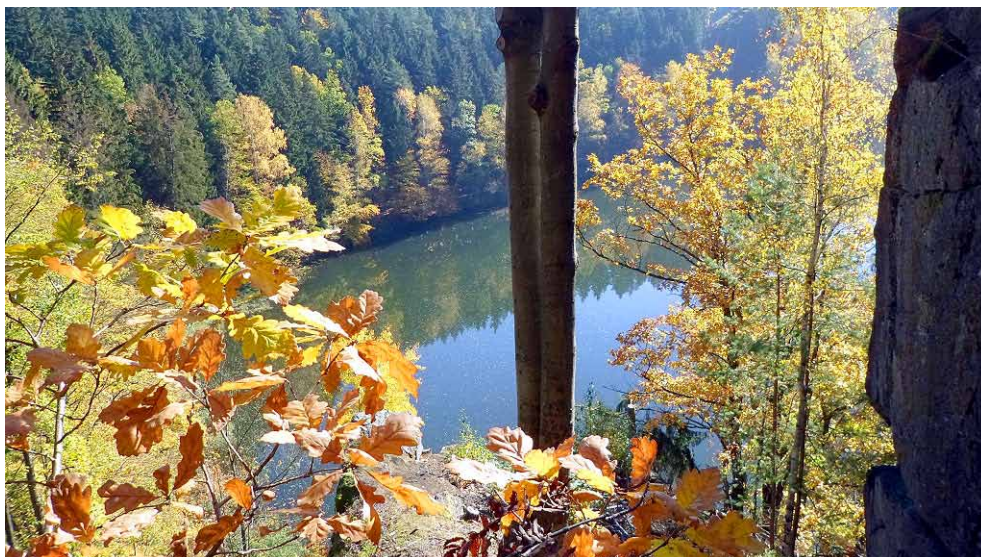
Kilkadziesiąt metrów niżej zobaczyłem zakole rzeki, a nieco z boku, po drugiej stronie wody, wielki budynek. Dobiegły mnie podniesione dziecięce głosy – kontrast z moim dość odludnym miejscem. Tuż obok i parę metrów niżej sterczały skalne złomy opadające ku rzece pionowymi, poszarpanymi skałami. Wszedłem na płaski wierzch najbardziej wystającej skały i zarządziłem przerwę; za ładnie tam było, żeby szybko odchodzić i to nie tylko z powodu słońca i kolorów jesieni, ale też z powodu widoków i rzadkiego zestawienia – wysokich skał, lasu i rzeki w dole. Miejsce czyniło wrażenie także rzadko spotykaną w tych niskich górach ekspozycją; gdy stałem przy krawędzi skalnego obrywu i patrzyłem na wierzchołki drzew w dole, czułem mrowienie w nogach. Byłem na Wieżycy.

Dobrze, ale gdzie jest ta ścieżka z wioski do jaru? Przecinką zszedłem do elektrowni, znalazłem mało używaną ścieżkę trawersującą stromizną ściany wznoszącej się nad zabudowaniami, wróciłem pod garaże i poszedłem drugą ścieżką. Zrazu wyraźna, później coraz bardziej była zarośnięta, aż w końcu przedzierałem się przez jeżyny i gęstwinę nawłoci, a za nimi zobaczyłem mostek: szedłem dnem wyschniętego strumienia. Mostkiem biegła wygodna, szutrowa droga; poszedłem nią. Później uznałem, że za bardzo skręca w lewo, w stronę szczytu Gapy, więc wszedłem w jeden z duktów prowadzących bardziej w prawo; ładnie tam, ale jaru nie było, szedłem równoległe do niego, jednak za wysoko. Las się skończył i wyszedłem tam, gdzie podejrzewałem: przy Złotym Widoku.

A może jednak zostać poszukiwania ścieżki, a przejść jar? – pomyślałem. Drogi ku niemu nie ma, ale



Górny Gierczyn



Na Wieżycy

odległość jest mała, kierunek łatwy do określenia, poszedłem więc na przełaj ku rzece i po kwadransie, bez przygód, stanąłem na początku Borowego Jaru.

Nie ma tam boru, jest las mieszany z przewagą drzew liściastych. Najwięcej rośnie lip, w większości wielopienne, rekordziste naliczyłem 14 pni, wszystkie rosnące na jednym głazie – wyjątkowy okaz. Sporo też jest buków, klonów i jaworów, tu i ówdzie spotykałem graby i wiązy, wyżej świerki. Lipy są już niemal bez liści, ale za to buki stoją w bajecznie żywych kolorach żółci, czerwieni i brązu,

ściślej – w barwach będących tak płynnymi połączeniami czerwieni i brązu, że zacierają granice między nimi. W słońcu drzewa wyglądały zjawiskowo pięknie. Jedno z nich, rosnące na stromym zboczu, wykształciło wielkie, nawet jak na buka, korzenie. Te drzewa często chwytają się ziemi płataniną pazurów, ale takich jeszcze nie widziałem; przypominały bulwiaste nacieki skalne w jaskini.

Na całej swojej parokilometrowej długości, jar czyni wrażenie urodą i różnorodnością szczegółów, miejscami dzikością. Rzeką, tu spokojną, ale tam głośno szumiącą na głazach wystających z jej wód; ścieżką meandrującą między skałami lub zwalonymi drzewami, wysypaną kolorowym kobiercem liści; wychodnie skały sterczące na stromych zboczach jaru, jakby balansujące w stanie chwiejnej równowagi; drzewa w różnorodności swoich gatunków, w nieskończoności kształtów i odcieni kolorów; dzikie kaczki biegnące po wodzie z głośnym furkotem, zostawiające za sobą drżący kilwater, podrywające się do lotu...

Doszedłem do podstawy wzniesienia wcześniej poznanego od góry, do Wieżycy; tuż za nią ścieżka kończy się skałą wyrastającą z wody i zagradzającą przejście; ładna skała, wygląda jak maczuga Heraklesa wetknięta w wodę. Niewiele dalej jest elektrownia i wioska Siedlęcina, ale brzegiem rzeki przejścia nie ma. Jedną drogę tam prowadzącą znalazłem, tę wiodącą przez szczyt Wieżycy, ale drugiej, zaczynającej się przy garażach – nie. Do wielkiego budynku schroniska po drugiej stronie rzeki można przejść po kładce. Przeszedłem na drugą stronę, ale do schroniska nie wchodziłem. Nie wchodzi do schronisk, chyba że muszę. Na kamieniu posiedziałem kwadrans, wypilem herbatę, pogapiłem się na oszałamiającą feerię światła i kolorów wokół mnie, w końcu zarządziłem powrót. Gdy minąłem skały, zobaczyłem mężczyznę idącego lasem od strony wioski. Droga! Mało widoczna, ale była; poszedłem nią, dowiadując się, gdzie niepotrzebnie skręciłem kilka godzin temu; poznałem ją całą i zawróciłem, żeby jar przejść jeszcze raz, tym razem w stronę miasta. Znam już drogę przez las z Siedlęcina do Borowego Jaru, a nawet dwie znam drogi; przy najbliższej okazji przejdę je jeszcze raz, bo z moją pamięcią...

Borowy Jar widziałem w kolorach jesieni, chciałbym zobaczyć w mroźny i śnieżny dzień zimy. Na pewno zobaczę go takim.

Krzysztof Gdula



Śnieżka rankiem widziana ze Złotego Widoku

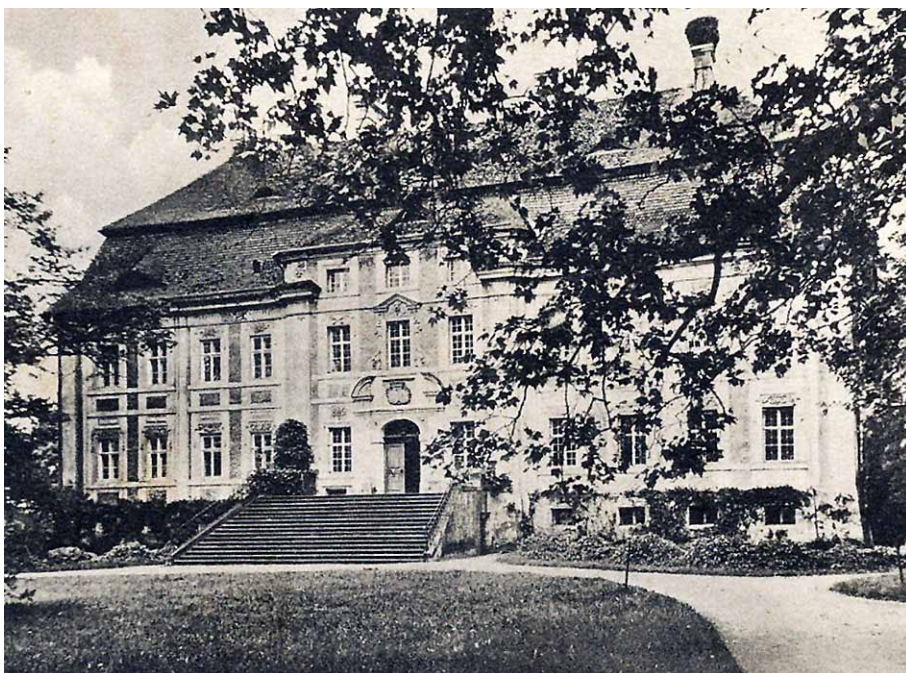


Wschód ze Złotego Widoku

Pałac Burghausów w Sułowie

Wzniesiony został ok. 1680 r. jako hrabiowska rezydencja rodzinny Burghaus. Jest to budowla na rzucie prostokąta, trzykondygnacyjna i trójtraktowa, z dachem czterospadowym, mansardowym z powiekami, z podwyższonym ryzalitem środkowym (na krótszej osi) – ze zdwojonymi pilastrami. Elewację zdobi podział płycinami i profilowane obramienia okien. Wejście prowadzi przez duże, ozdobne schody i portal ujęty pilastrami, z przerwanym naczółkiem.

We wnętrzu zachowała się część barokowego wyposażenia, m.in. rokokowy piec kaflowy z II połowy XVIII w. W 1817 r., po śmierci Sylwiusa von Burghausa, pałac odziedziczyła jego córka Julia, która wyszła za mąż za barona von Troschke, jednak oboje po kilku latach zmarli. Ostatnim właścicielem był rotmistrz – hrabia Friedrich Krain-Sschweinitz. W rękach jego rodziny pałac pozostał aż do 1945 r.



Pałac Burghausów w Sułowie na przedwojennej pocztówce

Po ostatniej wojnie w pałacu mieścił się ośrodek kolonijny zakładów przemysłu włókienniczego z Łodzi, a następnie ośrodek wychowawczy. Pałac był remontowany w latach 1963-1964 oraz 1973-1978.

Po zmianach ustrojowych przeszedł w ręce gminy, która wystawiła go na sprzedaż. Został kupiony przez właściciela pałacu w Wielkiej Lipie – włoskiego biznesmena, stając się siedzibą polsko-włoskiej firmy „Polskie Hinting 3”.

Obok pałacu znajduje się założenie parkowe powstałe w 1775 r. z inicjatywy Johana Sylwiusa von Burghausa – w formie kompozycji geometrycznej, później powiększone o park krajobrazowy w stylu angielskim o powierzchni ok. 11 ha. W bogatym drzewostanie dominują dęby, wiąz, jawory i jesiony. Centralnym punktem zachodniej części parku jest polana widokowa prowadząca do ozdobnego stawu z dwiema wysepkami o nieregularnej linii brzegowej. W części północnej natomiast uformowano pagórek; rośnie na nim bardzo okazała lipa licząca ok. 170 lat.

Przed pałacem założono gazon, który obiega droga prowadząca na podjazd do pałacu, a po obu stronach północnej części pałacu rosną potężne, leciwe platany.

Jako ciekawostkę warto dodać, że w Sułowie, w jednej z XIX-wiecznych kamieniczek w rynku, zatrzymał się 12.03.1831 r. Juliusz Słowacki, o czym wiadomo z jego listu do matki.

Inną ciekawostkę podaje żyjący jeszcze syn ostatniego właściciela pałacu w Sułowie – w czasie wojny (kiedy był kilkuletnim dzieckiem) w stawie obok pałacu hodowano karpie, w związku z czym pożywienia nie brakowało, ale teraz już żadne ryby zupełnie mu nie smakują.

Niestety, obecnie wnętrze pałacu jest niedostępne dla zwiedzających, mimo zapowiedzi sprzed kilku lat, że powstanie tu hotel i restauracja i nie będzie z tym problemu. Cóż – samo życie – widać plany właściciela się zmieniały!

Janusz Szulc



Dwa parki nad Wisłą

Dwa parki krajobrazowe w Dolinie Dolnej Wisły to osobliwość wśród 120 naszych wielkoobszarowych terenów chronionych. Ale nie tylko z powodu różnorodności przyrodniczej. Pod ochroną jest unikatowy wiślany krajobraz naturalny, bowiem końcowy odcinek Wisły zachował takie cechy, choć nastąpiła jej częściowa regulacja. Pod ochroną są także walory kulturowe, bowiem od XVI do XIX w. trwało w dolinie i na terasach zalewowych osadnictwo olęderskie.

Park Krajobrazowy Doliny Dolnej Wisły powstał w 1999 r. Wyróżniało go położenie na dwóch brzegach tej rzeki, między Grudziądem, Nowem, Świeciem, Chełmnem i przedmieściami Bydgoszczy. Po kilku latach przywrócono stare nazwy tworząc Zespół Parków Krajobrazowych Chełmińskiego (istniał od 1998 r.) i Nadwiślańskiego (istniał od 1993 r.).

Na lewym brzegu, opodal Gruczna, w rezerwacie „Ostnicowe Parowy Gruczna” znajdziemy objęte ochroną unikatowe okazy muraw kserotermicznych. W pobliskim Chrystkowie zachowała się podcieniowa chałupa olęderska z 1770 r., gdzie mieści się ośrodek edukacji przyrodniczej. Na prawym brzegu wyróżnia się „Kraków Północy”, czyli starożytne miasto Chełmno, z renesansowym ratuszem i zabytkową starówką, a także pierścieniem murów obronnych z 23 basztami i Bramą Grudziądzką.

Ale to zaledwie część atrakcji dostępnych krajoznawcom i turystom, głównie pieszym, i rowerzystom. W obydwu parkach występuje ponad 1000 gatunków roślin, oraz kilkadziesiąt gatunków ptaków lęgowych, typowych dla środowiska wodnego i błotnego. Dodać do tego należy prawie 100 pomników przyrody, 18 rezerwatów, starorzecza i okresowe jeziora pozostające po rozlewiskach wysokowodnych wiosennego nurtu Wisły.

Atrakcyjność terenu obydwu parków krajobrazowych powiększa 18 znakowanych szlaków pieszych, 9 opisanych tematycznych ścieżek edukacyjnych wiodących m.in. przez rezerваты i 2 wielce urozmaicone trasy rowerowe, poprowadzone okólnie w obydwu parkach, czyli Wiślana Trasa Rowerowa będąca fragmentem szlaku Euro Route R1. Ponadto łatwo dostępny jest szlak wodny Wisły. Atrakcyjne trasy turystyczne liczą razem prawie 600 km. Dodajmy do tego możliwość korzystania z gościny w 53 gospodarstwach agroturystycznych i kilku schroniskach młodzieżowych.

Obydwa parki krajobrazowe są gospodarzami wielu imprez kulturalnych, otwartych i atrakcyjnych na wiele sposobów. Koronny jest „Festiwal Smaku” pod koniec sierpnia w Grucznie, czyli największe spotkanie amatorów osobliwości kulinarnych. Ponad 100 wystawców pokazuje swoje produkty – miód, sery, wędliny, ryby, nalewki, przetwory owocowe, ze sławnymi powidłami śliwkowymi na czele. Nadwiślańskie parki zapoczątkowały w 1996 r. odtwarzanie 84 starych odmian jabłoni i 30 odmian gruszy. Ich kolekcja oraz przetwory owocowe i technologie są pokazywane podczas Dni Otwartych Sadów. Tradycje gospodarowania i styl życia dawnych mieszkańców tych stron można poznać podczas „Weekendu z Mennonitami”. W programie są pokazy dojenia krów, wypłatania płotu z gałęzi wikliny, zwiedzanie zabytkowej chaty podcieniowej w Chrystkowie, degustacje starych potraw.



Do najbardziej osobliwych imprez należy pokaz cięcia lodu w Topolnie, czyli starodawnego sposobu chłodzenia produktów żywnościowych. Zaś podczas „Święta Śliwki” w Strzelcach Dolnych można samemu wziąć udział w smażeniu powideł śliwkowych, które kiedyś były produktem eksportowym z Doliny Dolnej Wisły do Bydgoszczy, Grudziądza i Gdańska. Natomiast w Chełmnie na rynku i przy murach obronnych, co roku w lipcu odbywa się „Jarmark Jaszczurczy” – wielki kiermasz regionalnych wyrobów oraz pokazy sztuki ludowej i dawnych rzemiosł.

Atrakcji krajoznawczych nie brakuje nie tylko podczas typowych wędrówek pieszych, rowerowych, czy wymienionych przykładowo imprez. Towarzystwo Przyjaciół Dolnej Wisły od 2000 r. patronuje pokazom smażenia powideł śliwkowych w 15 miejscowościach, pracy pszczelarzy w tradycyjnych pasiekach, a także wędzenia ryb wiślanych. Osobliwością ponadregionalną jest winnica we wsi Talerzyk i wytwarzanie szlachetnego napoju, czyli okazja dla amatorów turystyki enologicznej.

Informacje na temat podanych tu przykładowo atrakcji krajoznawczych i możliwości uprawiania wielu rodzajów turystyki tematycznej na szlakach obu parków krajobrazowych można znaleźć w dwutomowym, bogato ilustrowanym wydawnictwie „Zespół Parków Krajobrazowych Chełmińskiego i Nadwiślańskiego”*. Jest to praca zbiorowa kilkudziesięciu autorów przedstawiająca panoramę regionu i jego osobliwości krajoznawcze – niezbędny do planowania wędrówek. Znalazł się w niej także geograficzno-krajoznawczy opis 101 miejscowości.

Tomasz Kowalik

* Zespół Parków Krajobrazowych Chełmińskiego i Nadwiślańskiego, t. I i II, praca zbiorowa 31 autorów tekstów i ilustracji pod red. Jarosława Pająkowskiego, sfinansowana przez Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego, w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Kujawsko-Pomorskiego na lata 2007-2013 oraz budżetu tego województwa, Toruń 2015.

Mennonici znad Wisły

Mennonici to odłam protestantyzmu powstały w Holandii w połowie XVI wieku. Ledwo kilkanaście lat od pojawienia się, mennonici zostali uznani za odszczepieńców nawet przez protestantów i zaczęli opuszczać swój kraj. Wielu dotarło nad Wisłę, zaczęli się osiedlać wzdłuż rzeki od Włocławka ku północy, w Dolinie Dolnej Wisły i na Żuławach, trafili nawet na Mazowsze. Na ziemiach polskich przylgnęła do nich nazwa Olędrzy (lub Olendrzy). Opuścili Polskę przy końcu II Wojny Światowej uznani za Niemców, choć przez kilka wieków żyli wśród rdzennej ludności polskiej wzbogacając kulturę rolną, materialną, żyjąc po swojemu pośród Polaków. Po Olendrach zostały kanały oraz szachownice łąk, pól i polderów wzdłuż dolnej Wisły, liczne cmentarze i zachowane (na szczęście) charakterystyczne budynki mieszkalne i gospodarcze. Turyści często odwiedzają gospodarstwo w Chrystkowie niedaleko Świecia.

Znajduje się tam znakomicie zachowana chata olęderska z roku 1770 roku (inne źródła podają 1778 r.).

Toruńskie Muzeum Etnograficzne od lat zajmujące się badaniem osadnictwa olęderskiego finalizuje duże przedsięwzięcie pn. Olęderski Park Etnograficzny. Powstaje on w Wielkiej Nieszawce na wielohektarowej działce i będzie miał postać wsi olęderskiej. W skład parku wejdą trzy różnego



Wielka Nieszawka, jedna z zagród olęderskich

typu zagrody z XVIII i XIX wieku. Są tam domy mieszkalne i budynki gospodarcze, pola i ogródki przydomowe. Obok, na pagórku znajduje się autentyczny cmentarz mennonicki. Jak przystało na wieś olęderską leży ona nad kanałem. Jest to Kanał Nieszawski. Trzeba wspomnieć, że Wielka Nieszawka i pobliska Mała Nieszawka były jednymi z większych ośrodków osadnictwa mennonickiego. W Małej Nieszawce znajduje się znakomicie utrzymany pomennonicki drewniany kościół, dziś katolicki. Prace budowlane zostały ukończone; do Parku przeniesiono, z różnych lokalizacji, sześć budowli, które zostały wcześniej zinwentaryzowane i przebadane, rozebrane i zmontowane w Wielkiej Nieszawce. Obecnie trwa zbieranie elementów wyposażenia, by zagrody i wnętrza budynków pokazać możliwie wiernie. Planuje się udostępnienie ich do zwiedzania w roku 2017, być może przed letnim sezonem turystycznym – jak czytamy na „fejsie” Parku: „najprawdopodobniej późną wiosną”.

Olęderska wieś znajduje się w odległości ok. 10 km od centrum Torunia. Dojazd z Torunia ulicą Nieszawską od mostu im. Piłsudskiego i drogą 273. Od mostu (i kempingu Tramp) do Małej Nieszawki wiedzie także wygodna, licząca 3,5 km droga rowerowa.



Olęderska wieś nad Kanałem Nieszawskim



Zagroda nad kanałem

Juliusz Wysłouch



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Pobyty na Litwie w listopadzie 2015 r. zapadł w mojej pamięci jako pasmo fantastycznych wrażeń. W 2009 roku Wilno otrzymało tytuł europejskiej stolicy kultury. To niezwykle miejsce na ziemi, położone w rozległej kotlinie, otoczone wzgórzami, wąwozami oraz zakrętami rzek, które w połączeniu z wieloma zabytkami tworzą piękny, specyficzny i unikatowy charakter miasta o wielobarwnym, malowniczym krajobrazie. Dla nas dodatkową wartość stanowią liczne ślady wspólnej historii. Do dziś pamiętam słowa moich pielgrzymów, zwłaszcza starszych, mówiących, że widzą stamtąd Polskę. To przecież tak blisko.

Wilno – tego miasta nie można porównać z żadnym innym. Jest pełne zabytków, niemych świadków historii, co sprawia, że ten, kto je raz zobaczył, zawsze tu powraca. Obok dzwonów kościelnych i cerkiewnych można było usłyszeć śpiew muezina z meczetu lub ujrzeć szabasowe światła. Miasto wielu religii, kultur, obyczajów, narodowości. Miasto ukochane przez królów i wodzów. Minęły lata, zmieniły się rządy, polityka, ustroje. Pozostało Wilno, palone, grabione, zdobywane i wyzwalone; odradzało się zawsze jak feniks z popiołów. Niegdyś stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, guberni, województwa, dziś stolica niepodległej Republiki Litewskiej. Miasto silniejsze niż wszelkie układy polityków. Wsłuchujemy się w jego mowę – litewską, polską, rosyjską. Poznajemy jego piękno i urok. I nie wstydzimy się łez w oczach, gdy odmawiając głośno litanie w Ostrej Bramie mówimy: „Królowo Korony Polskiej – módl się za nami”.

Och, jakże często wracam do tych najważniejszych miejsc, jak kościoły – św. Piotra i Pawła na Antokolu, św. Anny, Bernardynów, Świętego Ducha, katedra wileńska z kaplicą św. Kazimierza Królewicza, Wzgórze Trzech Krzyży, Uniwersytet Wileński im. Stefana Batorego, muzeum poświęcone pamięci Adama Mickiewicza, zamek na wodzie księcia Witolda w Trokach, miejsce kaźni Polaków i Żydów w Ponarach z okresu II wojny światowej i wiele innych. Zawsze wracając z Wilna, z pielgrzymki do domu, przywoziłam przepiękne wspomnienia – w pamięci i sercu zostawały one ze mną na długie miesiące, lata.

Dla mnie Wilno to „Ate-ny Polskie”, kolebka potężnej dynastii Jagiellonów, mała ojczyzna Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Piłsudskiego, Miłosa, Tyszkiewiczów. Miasto nauki i sztuki, uważane za najpiękniejsze w tej części Europy, wsłuchane w modlitwę



Pałac Tyszkiewiczów w Wilnie. Fot. Andrzej Rumiński

swych wież kościelnych, okolone z trzech stron wzgórzami porośniętymi lasem. Położone przy ujściu Wilejki do Wilii, w których wodach przeglądają się budowle wznoszone przez stulecia. Miasto malowniczych średniowiecznych zaułków, gdzie wysmukłe białe wieżycy i majestatyczne kopuły wystają ponad czerwone dachy domów. Miasto niezwykłych budowli wileńskiego baroku i wileńskiego klasycyzmu. Miejsce, w którym żyli obok siebie przedstawiciele wielu nacji: Polacy, Litwini, Białorusini, Rosjanie, Tatarzy, Karaimi, Niemcy, Włosi; wyznawcy wielu religii: katolicyzmu, prawosławia, protestantyzmu, judaizmu, islamu. Najciekawszym obiektem, który należy koniecznie zobaczyć będąc w Wilnie, jest Ostra Brama, najcenniejszy skarb miasta, z jego słynącym z cudów obrazem Matki Boskiej. To właśnie on w szczególny sposób przyciąga turystów z całego świata.

Jeszcze może kilka zdań o katedrze wileńskiej. Była ona i nadal pozostaje miejscem wydarzeń historycznych i kościelnych. Tutaj uroczyście koronowano Wielkich Książąt Litewskich – Witolda, Zygmunta Augusta. Prawdopodobnie tu, potajemnie, w 1547 roku odbył się ślub króla Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną. W tej świątyni koronowano obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, a w 1989 r. uroczyście przeniesiono do niej relikwie św. Kazimierza. Katedra kryje w sobie tajemnice. Tak mogłabym pisać i pisać.

Elżbieta Lisiecka

Andyjska Patagonia (3)

Dżungla pomiędzy NORQUINCO i RUCACHOROY od czasu do czasu upstrzona jest cudnymi polanami. Maliny i dzikie truskawki rosną tu pomiędzy kępami żywopomarańczowych kwiatów AMANCAY (które dla Indian Mapuche są symbolem miłości) oraz cienkimi pędami trzciny. Po drugiej stronie wzgórz lasy stopniowo ulegają zmianie. Araukaria wypiera inne drzewa oraz krzewy, a trawa staje się coraz rzadsza. Malownicze i imponujące, lecz również najbardziej nieprzyjemne, lasy araukarii chilijskiej rozciągają się aż po najbardziej wysunięte na północ granice „zielonego pasa”. Człowiek nie może się do niej zbliżyć, ptak nie jest w stanie uwić gniazda w jej listowiu, małpa nie może się po niej wspinać, gdyż, jak odkryłem, araukaria to drzewo zrobione z ostrzy bagnetu. Żeńskie przedstawicielki tego gatunku wytwarzają duże szyszki, pełne daktylowatych i smakujących jak orzechy nasion. Przez wieki stanowiły one źródło pożywnej jedzenia dla Indian. Ci z nich, którzy nadal zamieszkują rejony Rucachoroy, Norquinco oraz ALUMINE, zbierają je i konserwują w soli i wodzie.

Myślałem, że już nigdy nie zobaczę widoku równie fascynującego jak panorama Rucachoroy. Lecz – z drugiej strony – czy nie myślałem tak samo podziwiając wszystkie jeziora, które odwiedziłem?

Rucachoroy jest unikalne jeśli chodzi o położenie i bogactwo ptactwa wodnego.

Jego wody rozlewają się pomiędzy kilkoma malowniczymi, kamienistymi zatoczkami, które formują wylot rzeki. Tu i ówdzie stare araukarie kurczowo chwytają się skał, tak jak i nieliczne domy Indian. Kiedy jeden z Indian Mapuche był bliski ciśnięcia we mnie kamieniem, w pełni zrozumiałem wiadomość: „Żadnych zdjęć, proszę!”. Jednak po otrzymaniu haczyka rybackiego szybko zmienił zdanie. Zielone stada COTORRAS (patagońskie papużki faliste) latały popiskując tu i tam. Nic dziwnego, że miejsce to nazwano RUCA-CHOROY czyli dom papug. Noce były hałaśliwe, przepełnione odgłosami dziczy i pluskami pstrągów. Droga pomiędzy jeziorem a miastem Alumine nie należy do najlepszych, a w niektórych jej częściach pył zalega w dziurach głębokich na 30 cm. Wolałem więc podążać wzdłuż rzeki Rucachoroy, aż natknąłem się na obóz wojskowy. Batalion na ćwiczeniach – pomyślałem. Lecz nie – żołnierze budowali małe domy z cegły, przeznaczone dla Indian.

Miasto Alumine (tak czyste, że patagońska wydra radośnie pluskała się w jednym z rowów) można przejść wzdłuż w ciągu 9 minut. Wszystkie znajdujące się tu zabudowy zostały zaplanowane z rozważą i myślą o przyszłości. Duży, dobrze utrzymany plac oraz szeroka, długa na 8 km, dwupasmowa droga z obsianym kwiatkami, dzielącym ją pasem zieleni, przecięta 3 lub 4 ulicami. Pomimo błękitnego nieba i słonecznej pogody, miejsce było wyludnione – 14.30 to czas sjeisty. Powietrze wibrowało od gorąca, aromat ziół z otaczających wzgórz unosił się wokół, a ciszę przerywały jedynie dobiegające z oddali dźwięki gitary. Wygodny hotel należący do Automóbil Club Argentine zaopatrzył mnie w mapy i wiarygodne informacje. Tutaj, podobnie jak w innych częściach prowincji, ludzie, z którymi rozmawiałem, sprawiali wrażenie przyjemnie ociążonych i rozluźnionych. Niezwykle trudne byłoby wytłumaczenie im znaczenia zwrotów, takich jak „zatrzymać świat” czy „déjà vu”.

Zanim odwiedziłem jeziora Alumine, parokrotnie napotkałem na swojej drodze Indian Mapuche. Postrzegałem ich jako bardzo dumnych, bardzo leniwych ale równocześnie szczerych. Noc pod namiotem w Hyde Parku mogłaby okazać się bardziej ryzykowna niż obozowanie gdziekolwiek na terenie andyjskiej Patagonii. Kobiety zazwyczaj zajęte były trzepaniem misternie tkanych koców. Dzieci zajmowały się kurami, gęsiami, świniami oraz kilkoma owcami, będącymi w posiadaniu każdej rodziny. Ich mieszkania, zrobione z błota i trzciny (tylko raz udało mi się rzucić na nie okiem od wewnątrz), były niezwykle brudne i zaniedbane. Konie używane są przez wszystkich i to przez cały czas. Większość żyjących tu Indian komunikuje się w języku Araucano, ale młodzież ucząca się w szkołach mówi po hiszpańsku.

Na małych cmentarzach zawsze napotykałem butelki pozostawione przy grobowcach. Wydawać by się mogło, że ilość spożytego alkoholu świadczy o sile bólu po stracie bliskich. Ogólnie rzecz

ujmując, chociaż bardziej prymitywni, Indianie zamieszkujący wzgórze wydają się bardziej przyjaźni i szczęśliwsi niż ci, napotkani w SAN MARTÍN, JUNÍN i Alumine. Przyjemnie było zobaczyć, że ci, którzy tak bardzo pragną mieszkać i uprawiać ziemię swoich przodków, mają możliwość życia zgodnie ze swoimi przekonaniem. Zimą, gdy opady śniegu odcinają ich od reszty kraju, rządowe helikoptery (jak mi powiedziano) dostarczają niezbędne zaopatrzenie. W opinii właściciela stacji benzynowej z Alumine, Mapuche są zepsuci i nie przykładają się do pracy wiedząc, że i tak nie będą pozostawieni sami sobie.

Na północnych krańcach regionu NEUQUEN, niewielkie opady deszczu zaczynają kształtować występującą tu roślinność. Nadal dominują araukarie. Oddalone o 25 mil jezioro Alumine i przylegające do niego MOQUEHUE rozciągają się aż do granicy z Chile. Oba położone są na płaskowyżu usytuowanym na wysokości 822,96 m, otoczonym wzgórzami zalesionymi głównie od południa. Na przeciwległych krańcach Alumine znajdują się dwa gospodarstwa, zamienione na hostele. Wody jeziora, przyozdobione niewielkimi wyspami, nie tylko wyglądają malowniczo, ale – ze względu na dużą ilość słońca – są wystarczająco ciepłe, aby zagospodarować je turystycznie. Jednak nikogo wokół nie napotkałem. W Europie takie miejsca najeżone by były hotelami i roily się od turystów. Tutaj panuje cisza i wspaniałość przyrody.

Aż do teraz odosobnienie tych jezior oraz całej andyjskiej Patagonii sprawiło, że region tylko w niewielkim stopniu jest zamieszkały, wolny od ekonomicznych i politycznych przewrotów, nienaruszony, wieczny.

Ostatniego dnia wstałem wcześniej, by wdrapać się na szczyt skały górującej nad jeziorem i poczuć „Poncho de los pobres”, jak gauchos zwykli czasami nazywać słońce. Pożegnalne spojrzenie na południe, na spokojne wody Alumine oraz dalej, tam gdzie docierał mój wzrok. Grzbiet za grzbietem, porośnięte lasami wzgórze rozchodziły się tworząc kręgosłup Andów – imponującą stronę Bożego manuskryptu. Ziemię, gdzie czystość powietrza i samotność dobitnie charakteryzują dzień i noc, a istnienie wszechświata ponad nami zauważalne jest i wyczuwalne, skłaniając do modlitwy.

Neuquen – pozostań takim jakim jesteś.

K o n i e c

Mieczysław Zaręba
(Defender of England)

Carpobrotus edulis na Promontorium Magnum

„38° 47 NORTE, 9° 30 OESTE”. Rzut oka do atlasu geograficznego¹ – i już wiadomo, gdzie jesteśmy! „*Aquí... onde a terra se acaba e o mar começa*” – informuje pamiątkowa tablica, umieszczona na murowanym z kamienia obelisku, zwieńczonym krzyżem. Informuje słowami z „Luzjad” Luísa de Camõesa (1524-1580), renesansowego poety, uznawanego za największego pisarza portugalskiego. „*Tu... gdzie ziemia się kończy i morze zaczyna*” – czyli na Cabo da Roca.

Jechać, nie jechać? Nie, nie było takiej dyskusji, kiedy przygotowywaliśmy całodzienny wypad do Sintry. Zachód słońca na Przylądku Roca był zapisany w planach na wiele tygodni przed wyjazdem do Portugalii. Znacznie później padło natomiast pytanie: czy o tym pisać? Portugalia, pomimo swego położenia na drugim krańcu Europy, staje się coraz modniejszym celem podróży naszych rodaków. To tylko cztery i pół godziny lotu (krócej niż pociągiem z Wrocławia do Zakopanego!), a samoloty latają do Lizbony już z dwóch, czy może nawet trzech polskich portów lotniczych. Wiele relacji z tych podróży, w tym również z Cabo da Roca, można znaleźć w prasie i w Internecie. Czy warto więc dodawać jeszcze jedną? Zdecydowałem się spróbować. Tak, by nie wyszło zbyt banalnie.

Na początek – przynajmniej częściowo – spróbujemy rozszyfrować tytuł artykułu. *Promontorium Magnum* to nazwa nadana Przylądkowi Roca przez starożytnych Rzymian. Chociaż, jak

¹ Młodszy Czytelnicy, którzy jeszcze nie mają atlasu geograficznego, mogą oczywiście skorzystać po prostu z odpowiedniej aplikacji na smartfonie lub tablecie. Potrzeba posiadania atlasu przyjdzie z wiekiem...

wiadomo, nie byli oni zbyt wytrwałymi żeglarzami, jednak zdawali sobie chyba sprawę z ważności tego miejsca, skoro nazwali go *Przylądkiem Wielkim*. Znaczenie Cabo da Roca doceniali Mauroowie, którzy dość dobrze znali już zarys wybrzeży morskich Europy, a w VIII w. wzniesli potężny zamek obronny (dziś Castelo dos Mouros) w niedalekiej Sintrze. Jednak najważniejszy stał się on wkrótce dla Normanów (wikin-gów), którzy żeglując w swych długich łodziach już w połowie następnego wieku wiedzieli, że odtąd trzeba „brać się ku wschodowi” by dotrzeć do Olissibony u



Tylko 144 metry do Atlantyku...

szerokiego ujścia Tagu, a następnie – do Cieśniny Gibraltarskiej, otwierającej drogę na Morze Śródziemne. W XII i XIII w. tą samą trasą podążały niezgrabne żaglowce krzyżowców.

Z punktu widzenia geomorfologii Przylądek Roca stanowi „zakończenie” małego, liczącego ledwo 10 km długości pasemka górskiego, zwanego Serra de Sintra. Ciągnie się ono od miejscowości Sintra, niewiele przekraczając wysokość 500 m n.p.m. (najwyższy szczyt, Cruz Alta – 528 m), ku zachodowi i wysokim klifem spada w fale Atlantyku. Góry zbudowane są głównie z granitów, jednak ich zachodnią część, po stronie Cabo da Roca, budują sjenity.

Kiedy wysiadamy z samochodu u stóp XIX-wiecznej latarni morskiej, gwałtowne podmuchy wiatru o mało nie rzucają nas na ziemię. Tu prawie zawsze wieje – dominują wiatry zachodnie, wprost od morza. Wbrew temu co odczuwamy, nie jest to jednak żaden biegun zimna. Średnie temperatury stycznia to ok. 9 °C, sierpnia – ok. 18 °C (średnia roczna ok. 15 °C). Roczna suma opadów, niespełna 500 mm, jest znacznie niższa niż w niedalekiej Lizbonie (775 mm), jednak dochodzi do tego sporo wody w postaci mgły.

Naszą uwagę od razu przyciąga roślina, porastająca wielkimi łanami prawie wszystkie zdatne ku temu tereny wokół. To tytułowy *Carpobrotus edulis* – gatunek z rodziny pryszczynicowatych, do której należą głównie sukulenty liściowe o mięsistych liściach, służących do magazynowania wody (m.in. często spotykane w doniczkach w naszych kwiaciarniach „rośliny-kamienie”). Pochodzi z Południowej Afryki. Posiada mięsiste, trójkątne w przekroju liście, duże, żółte kwiaty o średnicy przekraczającej czasem 100 mm i jadalne owoce, skąd pochodzi jego nazwa (greckie *karpos* oznacza *owoc*, zaś *brotos* – *jadalny*, to samo co łacińskie *edulis*). Pospolicie nazywany jest „hotentocką figą” lub „kwaśną figą”. Zawleczony na inne kontynenty, początkowo jako roślina ozdobna, później jako gatunek utrwalający niestabilne, piaszczyste zbocza, rośnie dziś we wszystkich regionach o klimacie śródziemnomorskim. I to rośnie przez cały rok, wytrzymując nawet krótkotrwałe, kilkustopniowe przymrozki! Jego płożące się łodygi rozrastają się w ciągu roku nawet o 1 m, a jedna roślina może zakryć



Tablica na obelisku z cytatem z Luísa de Camõesa

obszar o średnicy do 50 m. Każdy owoc posiada po tysiąc i więcej nasion, a że owoce są jadalne, więc roślina łatwo się rozsiewa, wypierając inne gatunki. W wielu krajach, w tym także Portugalii, jest więc uznawana za groźny gatunek inwazyjny, który – jak stwierdzono – ogranicza bioróżnorodność gatunków roślinnych na „zawłaszczonym” terenie o 35– 60 %.

Tutaj „kwaśna figa” stanowi problem tym większy, że Cabo da Roca leży w granicach parku przyrodniczego (Parque Natural de Sintra-Cascais), utworzonego w 1994 r. na powierzchni 14 450 ha i sięgającego od ujścia Rio Falcão na północy po przedmieścia Cascais na południu. Pomimo że w powszechnym pojęciu jego głównym atutem są Góry Sintra i Krajobraz Kulturowy Sintry (wpisany w 1995 r. na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO), to najcenniejszymi przyrodniczo terenami w jego granicach są właśnie morskie wybrzeża.

Na upłazkach nadmorskich urwisk występuje tu szereg interesujących gatunków roślin, z których wiele to gatunki rzadkie lub endemiczne. Należy wymienić zawciąg szerokolistny (*Armeria pseudoarmeria*, port. *cravo-romano*), endemiczny podgatunek goździka (*Dianthus cintranus* ssp. *cintranus*) czy również endemiczny kolcolist (*Ulex densus*). Rośnie tu także charakterystyczny dla zachodniej części obszaru śródziemnomorskiego gatunek czystka o purpuroworóżowych kwiatach (*Cistus crispus*) – jego potomkiem „z nieprawego łóża” jest robiąca w Polsce oszałamiającą karierę hybryda – czystek szary (*Cistus incanus*) oraz śródziemnomorski wawrzynek (*Daphne gnidium*).

Ponieważ pierwsza dekada marca, to jednak nawet w Portugalii dopiero sam początek okresu wegetacyjnego, więc nasze zainteresowania usiłujemy przenieść z flory na faunę. Pospolitymi ptakami w tej części wybrzeża są żółtonoga mewa romańska oraz znacznie mniejsza od niej mewa czarnogłowa. Cóż z tego – wieje tak, że tylko nieliczne osobniki decydują się na loty. Musimy uwierzyć na słowo, że oprócz pospolitszych gatunków skalne urwiska wybierają na swój dom również rzadsze ptaki. Na tutejszych klifach buduje gniazda ściśle związany z morzem kormoran czubaty. W skalnych szczelinach gnieździ się pustułka, a na najbardziej niedostępnych półkach skalnych – wyjątkowo rzadki sokół wędrowny.

Spoglądamy smętnie ku zachodowi: niestety, dziś nie zobaczymy słońca zanurzającego się w wody oceanu. Zaledwie na kilka minut przed godziną zachodu zasłonił je wał chmur. Chroniąc głowy od wiatru pod kapturami kurtek spoglądamy po raz ostatni na białe grzywacze, rozbijające się o skały u naszych stóp. Pionowe zerwy klifu atlantyckiego wznoszą się tu na wysokość 140 m nad średni poziom morza (jak podano na obelisku), a może nawet 144 m – jak informuje Wikipedia. Cztery metry przy stu czterdziestu – żadna różnica, gdy się spada. A wypadki takie zdarzają się tu od czasu do czasu. Ludzie spacerują ścieżkami wzdłuż samej krawędzi klifu i przekraczają nagminnie drewniane bariery. Tak zginęło polskie małżeństwo, które chciało sobie zrobić pamiątkową fotografię z Atlantykiem w tle („Dobrze... Nie, trochę w lewo! I jeszcze krok do tyłu...”). Nawet dziś, przy bardzo silnym wietrze, spotykamy takich desperatów...

Na koniec kilka informacji praktycznych. Najłatwiej dojechać na Przylądek Roca samochodem. Z Lizbony można jechać do Sintry i stamtąd drogą nr EN 247 biegnącą północnymi podnóżami Serra de Sintra, albo też do Cascais i stamtąd drogą nr EN 9-1 obiegającą to pasemko górskie od południowego zachodu. Parking (w marcu był bezpłatny!) znajduje się przy samej latarni morskiej. Tuż obok jest punkt „it” i sklepik z pamiątkami. Niezmotoryzowani, po dotarciu do Sintry lub Cascais (z Lizbony jeżdżą do obu pociągi podmiejskie) korzystają z autobusu nr 403, kursującego wahadłowo między tymi dwiema miejscowościami via Cabo da Roca. Zresztą: wszystko przecież można znaleźć w Internecie...



Kwitnący *Carpobrotus edulis*

Miroslaw J. Barański

Dania i Niemcy Północne – miasta Hanzy

Zacznę w dwóch zdaniach od Danii, bo ją mieliśmy też na naszej trasie, a więc od Gangu Olse-na i „Baśni Andersena”, ewentualnie jeszcze syrenki w Kopenhadze, takiej bliskiej warszawskiemu symbolowi. To cała Dania dla Polaka. Z Danii pochodzi jeszcze Czesław Moził.

Zamek Kronborg w miejscowości Helsingør, szerzej znany jako zamek Hamleta w szekspirowskim Elsynorze, został zbudowany w XV w. Był on tak wielką i majestatyczną budowlą na ówczesne czasy, że usłyszał o nim nawet Szekspir. Na uwagę zasługuje pomnik, przedstawiający pisarza Hansa Christiana Andersena w pozycji siedzącej i zwróconej w kierunku ukochanych przez niego Ogrodów Tivoli.

Mała Syrenka w Kopenhadze, choć ma zaledwie 1,25 m wysokości, to właśnie ona jest prawdziwym symbolem miasta. Każdego roku tłumy turystów podążają na nabrzeże, aby zobaczyć tę małą, patrzącą na kopenhaski port, bohaterkę baśni H. Ch. Andersena. Trzeba mieć dużo szczęścia, aby sfotografować ją bez tłumu w tle. Zwłaszcza że turyści nie tylko ją oglądają, ale też pragną mieć z nią zdjęcie. Biednej Syrenki nikt o zdanie nie pyta. Jest patronką wszystkich alternatywnych kultur. Jest także siostrą naszej, warszawskiej. Jak głosi legenda, dwie siostry z Atlantyku wpłynęły do Morza Bałtyckiego; jedna została na brzegu Danii, druga popłynęła Wisłą w głąb lądu, w głąb Polski, aż do Warszawy.

Po Danii zwiedzaliśmy miasta Hanzy w Niemczech Północnych. I tak cała Meklemburgia, którą mieliśmy w programie, to kraina morskich wysp, piaszczystych plaż, wapiennych klifów i „tyśiąca jezior”. Uroda północnych Niemiec może pozytywnie zaskoczyć i podbić serca turystów poszukujących malowniczych pejzaży, błękitnego morza spowitego słonecznym światłem i – przede wszystkim – spokoju na tajemniczych, ale przepięknych wyspach morskich. Znaczną część Meklemburgii zajmują również lasy i polodowcowy krajobraz z ładną architekturą średniowiecznych miejscowości oraz pięknych miast: Schwerin, Wismar, Kilonia, Rostok, Greifswald, Stralsund, Lubeka, Hamburg, Brema, Celle, Goslar, Quedlinburg.



Pomnik Hansa Christiana Andersena



Syrenka i trzy Gracje

Na końcu naszej wycieczki znalazł się Lipsk.

To najpiękniejsze miejsca północnych Niemiec. Zwiedziliśmy krainę „gotyckiej czerwonej cegły”, która była jedynym właściwym materiałem budowlanym do wznoszenia wysokich, strzelistych katedr, pełnych przepychu domów hanzeatyckich kupców, dumnych ratuszy. Pospacerowaliśmy po malowniczych wybrzeżach dwóch mórz Niemiec – Bałtyckiego i Północnego. Zobaczyliśmy imponujące hanzeatyckie wolne miasta – Hamburg i Lubekę. Zachwycaliśmy się urokiem miast, pomników wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Odkrywaliśmy najpiękniejsze zakątki niemieckiego wybrzeża.

Malowniczo położone na wyspie Stare Miasto Lubeki zwanej „Królową Hanzy”, nie bez przyczyny zostało wpisane na listę UNESCO. Stylowe kamienice, wysokie strzeliste kościoły oraz wąskie kręte uliczki tworzą wyjątkowy klimat Lubeki.

Z kolei symbolem cudownego Schwerinu, stolicy młodego landu Meklemburgii-Pomorza Przedniego, jest bajkowy zamek położony na wyspie w samym centrum miasta. Wraz z katedrą zalicza się on do dzieł najwyższej klasy pośród gotyckich ceglanych budowli północnych Niemiec. Wzorowany był na francuskich zamkach nad Loarą, stąd jego fascynujące ogrody pałacowe stworzone do spacerów.

Dalej Wismar, urokliwe miasto z doskonale zachowanym historycznym sercem miasta. Bogactwo gotyckiego, ceglanoego dziedzictwa sprawiło, że Wismar został wpisany na listę UNESCO. Kościoły wysokie, strzeliste, widoczne zarówno z lądu, jak i z morza, nadają miastu wyjątkowy charakter. Rynek w Wismarze – jeden z największych w północnych Niemczech, z wyjątkową studnią – otoczony jest zabytkowymi ceglanoymi kamienicami.

Hamburg jest oknem na świat dla całych Niemiec. Port oraz połączone z nim kanały Łaby nadają mu niepowtarzalną żeglarską atmosferę. Nazywany „zieloną metropolią nad wodą” nie bez przyczyny uchodzi za jedno z najpiękniejszych miast w Niemczech. Przespacerowaliśmy się po porcie, drugim co do wielkości w Europie. To miasto spichlerzy, największy na świecie kompleks portowych magazynów, zachwycający swoją neogotycką architekturą i klimatem. Inną atrakcją hamburską stanowi tunel pod korytem Łaby, którego otwarcie było prawdziwą techniczną sensacją. Natomiast HafenCity, nowa dzielnica Hamburga, to idealny przykład połączenia nowoczesnej architektury z portową przeszłością miasta. Jeżeli chodzi o budowle sakralne, kościół św. Michała z wieżą, symbolem Hamburga, jest najpiękniejszą świątynią



Johann Sebastian Bach w Lipsku



Komplet pięciu rzeźb w Lipsku

miasta. Piękny Ratusz hamburski projektowano z największym rozmysłem przez 30 lat. Wszystkim zapewne znana jest centralna ulica słynnej dzielnicy czerwonych latarni. Z braku czasu pominęliśmy zwiedzanie Muzeum Morskiego, które w interesujący sposób prezentuje 3 tys. lat historii zmagania się człowieka z morzem.

Jeżeli chodzi o Rostok, to największy niemiecki port nad Bałtykiem. Jego kościół ze 117-metrową wieżą był drogowskazem dla rybaków i marynarzy. Podziwialiśmy tam także uczelnię – najstarszy uniwersytet w Północnej Europie oraz Kościół Mariacki, z zegarem astronomicznym – najcenniejszą i najpiękniejszą budowlę miasta, o nietypowych proporcjach.

Nie pominęliśmy Rzymu Północy, jednego z najważniejszych i największych miast Ligi Hanzeatyckiej, wolnego miasta cesarskiego Brema ze 100-metrowej wysokości posągiem Rolanda, symbolem niepodległości miasta oraz rzeźbą przedstawiającą muzykantów z baśni braci Grimm – psa, kota i koguta stojących na osle. Zwiedziliśmy oczywiście monumentalną katedrę romańsko-gotycką z bogatymi stallami kapituły katedralnej oraz podtrzymywaną przez figury trzech mężczyzn jadących na lwie chrzcielnicą, dodatkowo udekorowaną pasami łukowych fryzów i wizerunkami świętych. Odbiliśmy też obowiązkowy spacer wąskimi średniowiecznymi uliczkami.

Natomiast Celle to średniowieczne miasto ze świetnie zachowanymi domami z tzw. muru pruskiego i pałacem książęcym przebudowanym na teatr miejski, z mówiącymi latarniami, które nie „zadziały”.

Sądząc, że udało mi się opisać wszystkie miejsca na trasie naszej wycieczki, pominęłabym przeurocze miasteczko Quedlinburg. Zwiedzanie zaczęliśmy od romańskiej kolegiaty leżącej przy średniowiecznym zamku Henryka I. Przespacerowaliśmy się wśród ponad 1200 zachowanych budynków z muru pruskiego, z których więcej niż 650 podlega ścisłej ochronie. W Gildii kupieckiej, gospodzie, sufit pokryty jest reliefami przedstawiającymi sceny testamentowe.

To chyba najważniejsze atrakcje, które zostaną na długo w mojej pamięci. Pomimo napiętego programu i niepewnej pogody, wycieczka się udała! Zobaczyliśmy naprawdę dużo, a że podróż kształca – wróciliśmy bogatsi w wiedzę. Niektórzy wrócili także bogatsi w pęcherze, zakwasy, nieprzespane noce, a biedniejsi o pewną kwotę, którą musieli wydać na pamiątki dla swoich najbliższych.. Wyruszyliśmy w drogę powrotną z żalem, że opuszczamy tak magiczne miasta i z nadzieją, że jeszcze tu wrócimy. Droga była długa, ale szybko i bezpiecznie minęła.

Elżbieta Lisiecka.



Żaglowiec w porcie w Hamburgu



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Ponura pamiątka z wieży kościoła w Münster

W moich europejskich peregrinacjach dotarłem do Münster – miasta położonego w północnej części Westfalii, założonego przez Karola Wielkiego w 793 roku, jako monasterium kanonickie z osadą przyklasztorną. Tu w latach 1534-1535 do władzy doszli anabaptyści zakładając komunę monasterską. Z tego okresu pochodzą klatki, zwane również koszami, zawieszane na wieży kościoła św. Lamberta, artefakty które miały ostrzegać innych wyznawców tegoż radykalnego nurtu reformacji, których nazywano nawet terrorystami anabaptystycznymi.

Kościół św. Lamberta (St. Lamberti) znajdujący się na końcu placu Prinzipalmarkt to duża i przestronna świątynia, którą wieńczy ażurowa wieża. W zawieszonych na niej trzech klatkach z kutego żelaza były wystawione na widok publiczny ciała przywódców anabaptystów w mieście: Jana van Leydena, Bernda Knipperdollinga i Bernharda Krechtinga.

Anabaptyści to nowochrześcjanie, wyznawcy radykalnego nurtu reformacji XVI w., którzy odrzucali chrzest dzieci, głosili konieczność zmiany zasad życia w celu powrotu do pierwotnego chrześcijaństwa. Zrezygnowali z przedmiotów kultu: budynków sakralnych, ołtarzy, obrazów. Podważali porządek społeczny, głosili zniesienie różnic społecznych i powołanie wspólnot chrześcijańskich. Domagali się rozdzielenia Kościoła od państwa, sprzeciwiali się karze śmierci i wojnom, odmawiali służby w wojsku. Radykalizm anabaptystów przerażał katolików i protestantów, z czasem doprowadził do prześladowań.

W Holandii i północnych Niemczech działalność misyjną prowadził kaznodzieja Melchior Hofmann, po jego uwięzieniu przejęli ją dwaj Holendrzy: piekarz Jan Matthijs z Haarlemu i Jan Beuckelson, znany jako Jan van Leyden lub Jan z Lejdy.

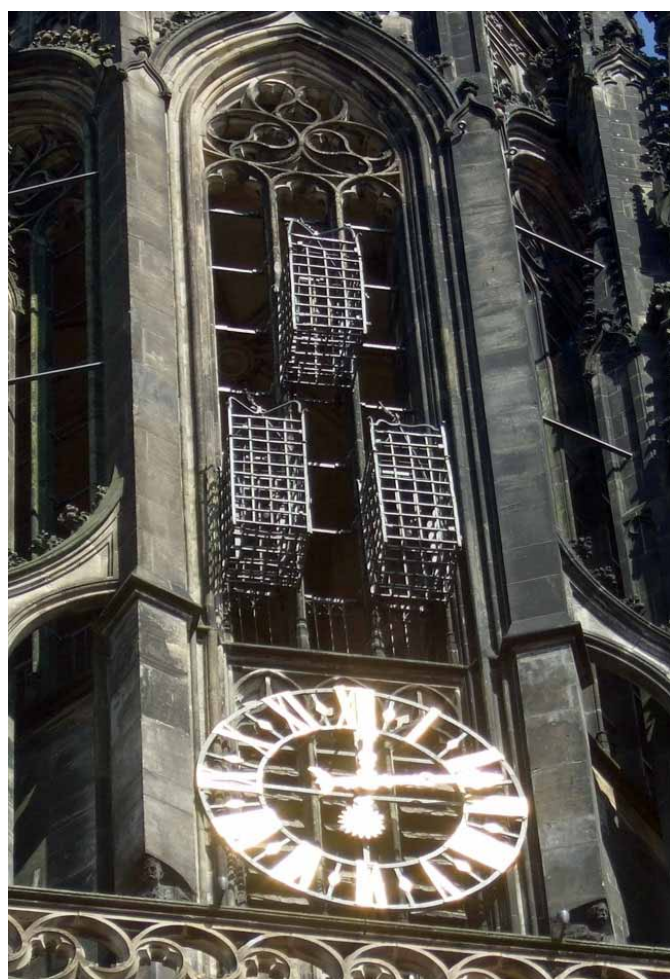
Jan z Lejdy urodził się 2 lutego 1509 we wsi Zevenhoven nieopodal miasta Leiden (Leyden, Lejda, Leyda), nazywał się Bockelson lub Beuckelszoon, z zawodu był krawcem, w Leiden prowadził karczmę. Był nieślubnym synem Jana Beuckolsona, sołtysa i pokojówki Aleke (również Alit).

Jan Matthijs, piekarz z Amsterdamu, przyjął anabaptizm dzięki kontaktom z Melchioriem Hofmannem, po uwięzieniu którego odegrał rolę przywódcy ruchu anabaptystów.

Ośrodkiem agitacji stał się Münster. Jan z Lejdy w styczniu 1534 objął kierowanie zbojem,



Kościół św. Lamberta (St. Lamberti)



Klatki zawieszane na wieży kościelnej

stworzył teokratyczną, egalitarną komunę, wprowadził wspólną własność i wielożeństwo. W kwietniu 1534 Jan Matthijs, przeświadczony o boskiej ochronie i zapowiadając przyjście Chrystusa, wyjechał poza miasto na białym koniu; zaraz po pojmaniu został zabity, rozcłonkowany, a głowę jego wbito na pal.

Jan z Lejdy przybrał tytuł króla anabaptystów, ustanowił dwór i przebogaty ceremonial. Ogłosił nową konstytucję, powołał w mieście radę dwunastu starszych, sam został jej rzecznikiem. Mianował się Johannesem der Gerechte (Janem Sprawiedliwym) i König in Stuhl Davids (Królem na tronie Dawida). W mieście propagowano poligamię, sam Johannes miał siedemnaście żon, w zasadzie szesnaście, bo królową wymieniano osobno. Zachęcając do wielożeństwa wpadano w skrajność, bo jak wytłumaczyć karanie śmiercią za cudzołóstwo i rozpustę?

Münster obwołano Nowym Syjonem, Nową Jerozolimą, anabaptyści zdobyli tu większość religijną i polityczną, tym samym wzbudzając sprzeciw, a nawet nienawiść całego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Książę biskup Franz von Waldeck postanowiwszy odbić Münster i przywrócić władzę biskupią, wysłał wojsko przeciwko rebeliantom. Oblężenie trwało do czerwca 1535. Münster zostało zdobyte i zniszczone, zwycięzcy dokonali rzezi.

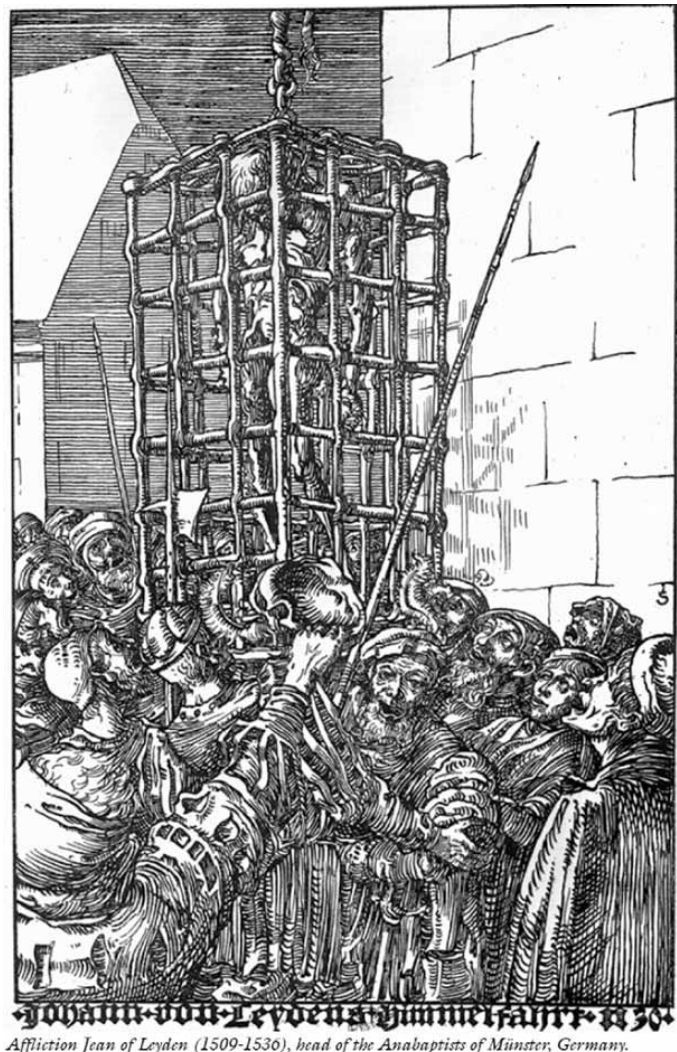
Jana z Lejdy i jego dwóch zastępców ujęto i skazano na śmierć; 22 stycznia 1536 r. poddano ich okrutnym torturom używając rozżarzonych kleszczy, na koniec zaszytyetowano i rozcłonkowano, a ciała umieszczono w klatkach, które zawieszono zostały na wieży kościoła św. Lamberta. Podobno jeszcze w 1585 r. było widać w nich kości.

Jan z Lejdy i Jan Matthijs zostali bohaterami opery Giacomo Meyerbeera „Le Prophète”, której premiera odbyła się w Paryżu w 1849 roku, a w Niemczech wykonano ją po raz pierwszy pod nazwą „Prorok” w Hamburgu w 1850 r.

Obserwując zwiedzających na Prinzipalmarkt i zatrzymujących się przed kościołem św. Lamberta, po szybkości patrzenia na jego wieżę, śmiem wątpić, czy wiedzą, co się na niej znajduje. To skłoniło mnie do poświęcenia klatkom kaźni osobnego artykułu.

Ryszard M. Remiszewski

Wieszanie klatki z ciałem Jana van Lejden (XVII w.)

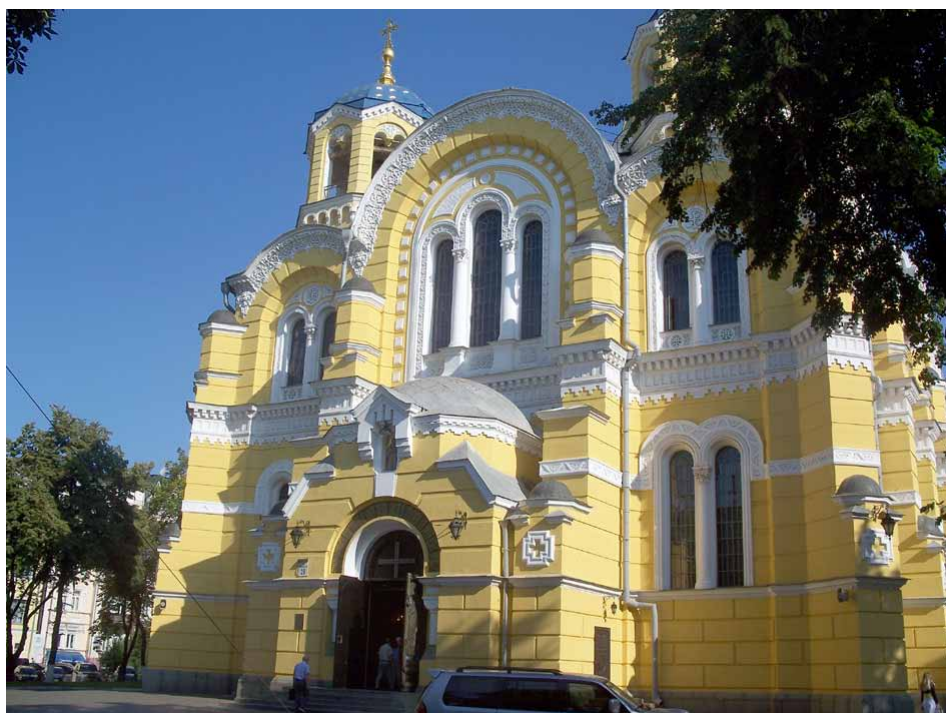


Sobór Włodimirski

Prawie w centrum Kijowa, w pobliżu stacji metra Uniwersytet przy bulwarze Tarasa Szewczenki stoi żółto-biały Sobór św. Włodzimierza. Jest to świątynia wzniesiona w stylu neobizantyjskim. Ma 7 kopuł, z których główną pokryto złotą folią, a pozostałe niższe upiękuszono złotymi gwiazdkami na niebieskim tle. Jej rozmiary u podstawy wynoszą 55 x 30 m, a wysokość 49 m.

Historia Soboru sięga zaledwie XIX w., ale jest dość ciekawa. Od 1852 r., gdy metropolita moskiewski Filaret wystąpił z propozycją zbudowania w Kijowie świątyni na cześć 900-lecia chrztu Rusi, trwała zbiórka środków na ten cel. Po 7 latach uzbierano już 100 tys. rubli, więc zlecono opracowanie projektu architektonicznego budowli. Pierwszy projekt Iwana Sztroma 13-kopułowej świątyni na planie krzyża został zatwierdzony przez cara Aleksandra II. Jednak z powodu braku pieniędzy, architekt Paweł Sparro przerobił projekt, zmniejszając świątynię, a więc i obniżając koszty.

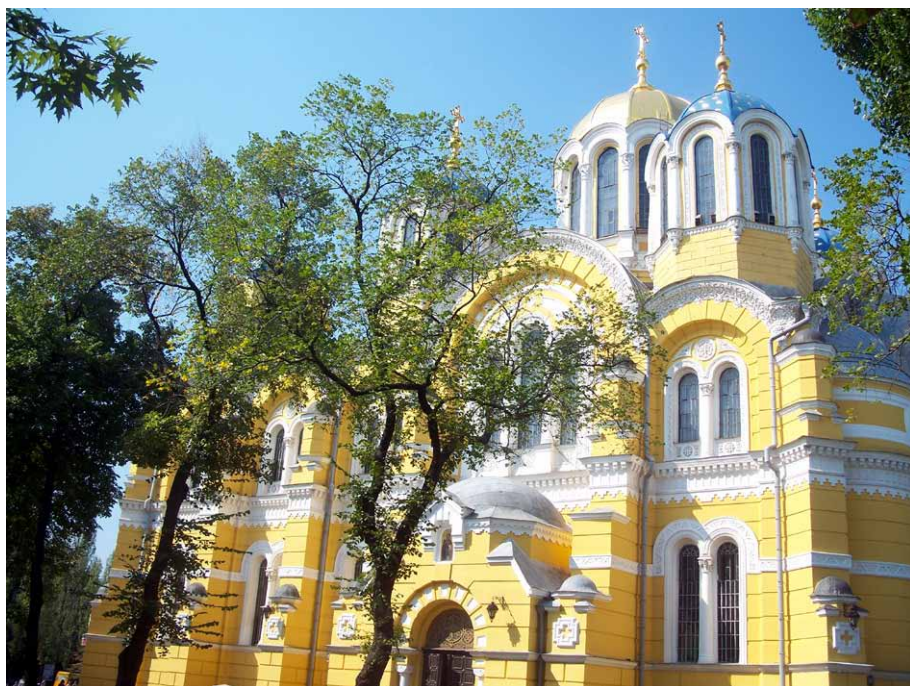
Prace budowlane ruszyły w 1862 r. pod nadzorem architekta Aleksandra Beretti, który wniósł do projektu własne zmiany. Gdy w 1866 r. budowla już stała, choć jeszcze bez wież, pojawiły się pęknięcia w ścianach. Wy tłumaczono je błędami w obliczeniach przy przeróbkach pierwotnej wersji Sztroma. Roboty budowlane stanęły. Dopiero przyjazd do Kijowa cara Aleksandra II w 1875 r. spowodował, że prace na zapuszczonej budowie ponownie ruszyły. Kierowanie inwestycją przejął kijowski architekt Włodimir Nikołajew, który wprowadził do projektu



Sobór Włodimirski

kolejne poprawki – zmienił nawy boczne, ściany wzmocnił przyporami. Po 20 latach w 1882 r. *chram* był gotowy.

W 1885 r. rozpoczęły się we wnętrzu świątyni prace dekoracyjne, którymi kierował prof. Adrian Prachow. Przyozdabianiem ścian i sklepienia zajęli się ukraińscy, rosyjscy i polscy malarze. W głównej nawie Wiktor Wasniecowa umieścił freski przedstawiające Matkę Boską z Dzieciątkiem i sąd ostateczny, a także chrzest kijowian, chrzest księcia Włodzimierza i portrety świętych. Michaił Niestierow namalował kompozycje „Narodziny Chrystusa” i „Zmartwychwstanie” na



Sobór Włodimirski w innym ujęciu

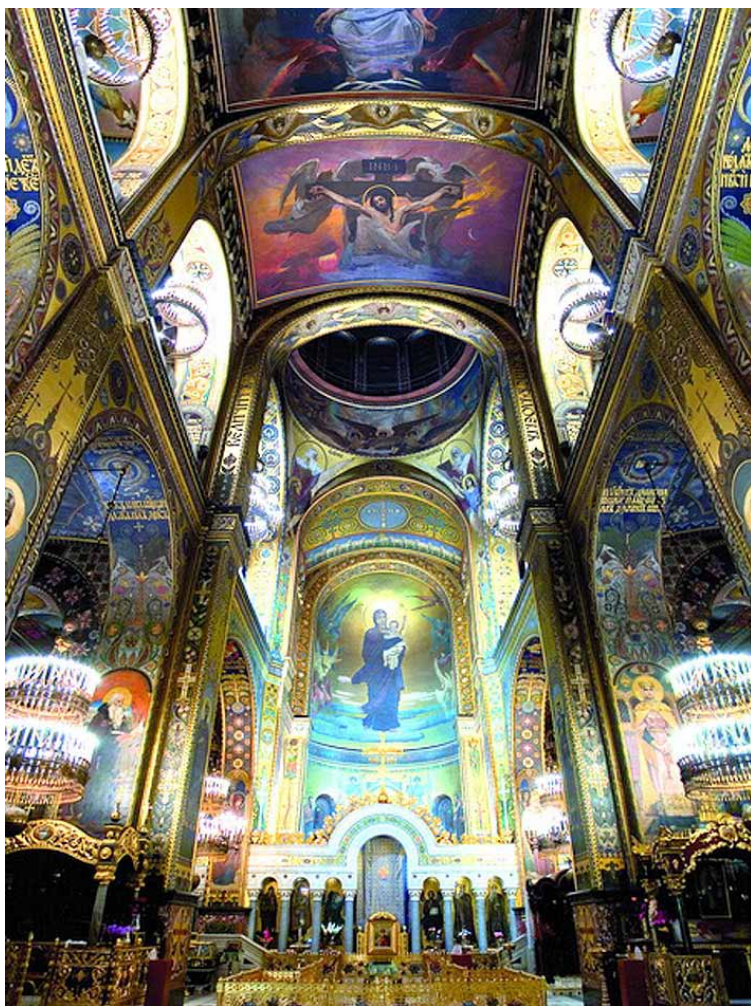
ścianach chórów oraz udekorował ikonostasy w nawach bocznych. Polscy malarze – Paweł Świdomski i Wilhelm Kotarbiński stworzyli razem kompozycje: „Ostatnia wieczerza”, „Wjazd do Jerozolimy”, „Sąd Piłata”, „Rozpięcie na krzyżu”, „Wskrzeszenie Łazarza” i „Modlitwa w Ogrójcu”. Rosyjski malarz polskiego pochodzenia Michał Wrubel udekorował boczne nawy świątyni girlandami konwalii, lilii i pękami sosnowych szyszek. W uroczystej konsekracji świątyni w 1896 r. wziął udział car Mikołaj II. Sobór, znajdując się tuż obok uniwersytetu, stał się miejscem spotkań młodzieży studenckiej.

Za władzy radzieckiej w 1929 r. sobór został zamknięty. Wykorzystywano go jako archiwum dokumentów i magazyn biblioteczny, a nawet jako muzeum ateistyczne. Po przeniesieniu stolicy Ukrainy z Charkowa do Kijowa w 1934 r. opracowano plan rekonstrukcji centrum miasta, w którym nie było miejsca dla Soboru św. Włodzimierza (jak i dla Soboru Sofijskiego oraz Michajłowskiego). Wojna przeszkodziła w realizacji planu.

W 1944 r. *chram* stał się katedralnym soborem metropolity kijowskiego i galickiego, egzarchy Ukrainy. W 1966 r. na czele egzarchatu, podległego Patriarchatowi Moskiewskiemu, stanął Filaret (Michaił Denisenko).

W 1990 r. egzarchat zamieniono na metropolię, ale Cerkiew wciąż podlegała patriarche moskiewskiemu. Filaret, po połączeniu swojej Cerkwi z Ukrainską Cerkwią Autokefaliczną (pochodzącą z rozłamu w Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej w 1921 r.), ogłosił w 1992 r. samodzielność Ukrainiejskiej Cerkwi Prawosławnej. Archijerejski Sobór Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej pozbawił wówczas Filareta wszystkich stopni stanu duchownego i związanych z nimi praw. Filaret uznał uchwałę Soboru za niekanoniczną i niezgodną z prawem. Nie uznał także uchwały następnego moskiewskiego Soboru, który w 1997 r. poddał Filareta anatemie, a więc usunął go z Cerkwi. Przy sprzyjającym stanowisku władz nowego państwa Ukraina Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego przejęła część parafii i zaczęła działać, początkowo pod kierownictwem patriarchy Mstysława, później (od 1993 r.) Wołodymyra, a następnie (od 1995 r.) Filareta. Dziś ma ona co prawda trzy razy mniej parafii i księży niż Cerkiew podległa Moskwie i nie jest uznawana przez większość cerkwi prawosławnych świata, ale nie stanowi to przeszkody w jej działalności na Ukrainie. Filaret używa tytułu patriarchy kijowskiego i całej Rusi-Ukrainy.

Wchodząc do świątyni zwracam uwagę na masywne brązowe drzwi, na których wyrzeźbiono figury księżnej Olgi i jej wnuka księcia Włodzimierza. W ciemnym wnętrzu soboru znad głównego ołtarza patrzy na mnie oświetlona Maria z Dzieciątkiem, a wokół widzę mnóstwo innych postaci i zdarzeń biblijnych opisanych pędzlem przez słynnych malarzy. Wyobrażam ich sobie stojących, a nawet leżących na rusztowaniach podczas wielomiesięcznej pracy. W powietrzu unosi się zapach spalanych świeczek woskowych. Można je kupić na miejscu, w przedsionku i samej świątyni. Kupuję kalendarz prawosławny z podobizną patriarchy. Zawsze widać tu skupionych na modlitwie pątników i podekscytowanych turystów, którzy kręcąc głowami próbują wzrokiem ogarnąć i ściany, i sklepienie. W święta można też posłuchać chóru soborowego, mającego opinię jednego z najlepszych prawosławnych chórów Ukrainy.



Sobór Włodimirski – wnętrze

Janusz Fuksa
Fot. Wikipedia.pl

Blżej Karkonoszy w Domku Myśliwskim

Drogę na Śnieżkę spod kościoła Wang w Karpaczu można nazwać „karkonoskim standardem”, gdyż jest to jedna z najpopularniejszych tras turystycznych w Karkonoszach. Warto jednak dodać jej niestandardowy element i zajrzeć do Domku Myśliwskiego.

Obiekt znajduje się w Kotle Małego Stawu, przy niebieskim szlaku turystycznym (ok. 1,5 godziny marszu od świątyni Wang). Powstał w 1924 roku z inicjatywy hrabiego Fryderyka Schaffgotscha, ówczesnego właściciela części Karkonoszy, jako schronienie dla myśliwych polujących w karkonoskich lasach.

Obecnie Domek Myśliwski jest najwyżej położonym (1158 m n.p.m.) ośrodkiem edukacyjnym Karkonoskiego Parku Narodowego. Co roku, w wakacje KPN organizuje w Domku Myśliwskim cykl weekendów tematycznych.

Tym razem cyklowi przyświecało hasło „W wakacje poznaj Karkonosze blżej”. Kolejne weekendy mogliśmy spędzić: na bagnach, arktycznie, z karkonoskim ziołolecznictwem, ze szkiełkiem i okiem, w masce, na skrzydłach z ptakami Karkonoszy, z przyrodą na wesoło, z mapą, czy z obcym, czyli z gatunkami inwazyjnymi w Karkonoszach. Wybranych tematów towarzyszyły prelekcje, wyćieczki tematyczne, gry, zabawy i konkursy edukacyjne dla dzieci i dorosłych.

Nie inaczej było podczas „Weekendu z przyrodą na wesoło wg lichenologa i geologa”, na który się wybrałem. Spotkania prowadziły Aleksandra Trytek, geolog z wykształcenia i Magdalena Taurogińska, lichenolog z zamiłowania. Udało mi się z nimi porozmawiać.

– O ile turyści, wiedzieli, kto to jest geolog, o tyle intrygowało ich, czym zajmuje się lichenolog – powiedziała M. Taurogińska. – Wyjaśniałam więc, że lichenologia to nauka o porostach.

– Gdy jeden z naszych gości stwierdził, że Śnieżka to wygasły wulkan, musiałam mu wytłumaczyć, że tak nie jest. Tuż przed zamknięciem Domku Myśliwskiego, za pięć 16.00, zrobiłam wykład z geologii, wyjaśniający, że Śnieżka nie jest wygasłym



Magdalena Taurogińska zaprasza na „Weekend na wesoło” Fot. Z. Piepiora



Od lewej Zbigniew Piepiora, Aleksandra Trytek, Magdalena Taurogińska.

wulkanem i jest zbudowana m.in. z hornfelsów. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem – oznajmiła A. Trytek.

– A dziennie przewijało się po kilkaset osób. Nasi goście pytali nie tylko o porosty. Gdy ktoś zapytał o czerwony kolor skał w Kotle Łomniczki, wyjaśniałyśmy, że skały zawdzięczają go glonowi o nazwie *Trentepohlia iolithus*, który ogrzany, np. przez potarcie, wydziela fioletowy zapach. Już w XVIII wieku „fioletowe kamienie” były jedną z atrakcji przyciągających turystów w Karkonosze, a w szczególności na Śnieżkę. Jeszcze w 1932 roku sprzedawano je jako pamiątki – dodała M. Taurogińska.

W Domku Myśliwskim można było usłyszeć znacznie więcej ciekawostek. Kolejny cykl weekendów tematycznych – w wakacje przyszłego roku. Warto przypomnieć, że Domek Myśliwski jest otwarty: od lipca do sierpnia – od wtorku do niedzieli, od 10.00 do 16.00; w czerwcu i wrześniu – od wtorku do niedzieli, od 10.00 do 15.00; w pozostałe miesiące (poza listopadem) – od piątku do niedzieli, od 10.00 do 15.00.

Zbigniew Piepiora
Fot. Aleksandra Trytek



NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Siedemnasty zajazd na Wielkopolsce

Wielki wieszcz Adam M. napisał poemat „Ostatni zajazd na Litwie”, w jego tytule jest imię pewnego pana T. Uczcijmy to dzieło narodowe po wielu latach na tych łamach skromnym komunikatem o „zajeździe” na wspaniałościach regionu wielkopolskiego i pałuckiego, czyli krajoznawczą podróżą kilkudziesięciu uczestników XVII Forum Wielkopolskich Publicystów Krajoznawczych (17-20 września 2015 r.).

Bazę mieliśmy w Wągrowcu, a z niej wyruszaliśmy na kolejne „zajazdy”, zgodnie z programem imprezy „Pałuki 2015”. To mniej znane strony dla większości osób, nie tylko z tego swoistego towarzysko-twórczego kręgu piszących, wydawców, działaczy krajoznawczych. Wielu z nich ma obfite zasługi jako popularyzatorzy wiedzy nie tylko o Wielkopolsce, ale i o innych częściach Polski, od Bałtyku po Karpaty, od Sanu po Odrę, z Ciechocinkiem pośrodku.

Klub Wielkopolskich Publicystów składa się z 16 członków zwyczajnych i 37 korespondentów. Chłubi się członkostwem honorowym Franciszka Jaśkowiaka (1903-1983), wybitnego krajoznawcy, działacza Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, PTTK i Ligi Ochrony Przyrody. Upamiętniono go wielkimi głazami narzutowymi w Wielkopolskim Parku Narodowym i równie dużym głazem opodal miejscowości Morasko, gdzie chodził do szkoły (dziś znajduje się tu rezerwat Meteoryt Morasko, czyli miejsce upadku potężnego ciała niebieskiego).

Tym razem Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych zorganizował spotkanie krajoznawcze swoich członków rzeczywistych i korespondentów na Pałukach, z bazą w powiatowym ośrodku sportu i rekreacji w Wągrowcu. Była to dla 45 uczestników podróży okazja do poznania i namiętnego fotografowania kilkuset obiektów krajoznawczych. Ideą przewodnią Forum była metodyka uprawiania krajoznawstwa, sposobów pokazywania obiektów w sposób przystępny i utrwalania treści krajoznawczych. A wiele razy mistrz wielkopolskiego przewodnictwa i autor programu terenowego tej imprezy, Paweł Anders podkreślał, że kilkadziesiąt mało znanych maleńkich i reprezentacyjnych miejscowości, pomniki, liczne pamiątki powstania wielkopolskiego, pałace i kościoły wielkopolskie są od dawna *in situ*, czyli tam, gdzie je stworzyli Wielkopolanie i działa się sprawy wielkie i całkiem przeciętne, jak choćby utrzymanie przy domach barwnych ogrodów kwiatowych. Istotnie, wszystkie były tam, gdzie je posadowiono przed wieloma wiekami, przed niespełna stuleciem, czy choćby w 2015 roku.

W zespole organizatorów XVII Forum nieprzeciętną rolę kwatermistrza-szefa modnej obecnie logistyki odegrał Bogdan Kucharski, a realizację, z dokładnością do 10 minut, intensywnego, czterodniowego programu imprezy wspierał dyskretnie sekretarz Klubu, Witold Gościński. Obsługę fotoreporterską zapewnił niestrudzony w tej misji Zbyszek Szmidt. Wypada choćby wspomnieć, że filarami Wielkopolskiego KPK już od ponad 30 lat są znakomici autorzy – bez obawy o wielką niedokładność – kilkuset przewodników, monografii, folderów, wystaw ukazujących Wielkopolskę i poszczególne jej regiony w zwierciadle krajoznawczym.

Nic zatem dziwnego, że poczesne miejsce znalazły w programie „Pałuk 2015” pałace, drewniane i murowane przed wiekami świątynie, ruiny zamków, miejsca upamiętniające czyny zbrojne zwycięskiego powstania wielkopolskiego, stare dwory i solidne lecz niewielkie szkoły, czynne i zaniedbane linie kolejowe, ośrodki sportowe i rehabilitacyjne. Z przyczyn obiektywnych nie dało się dokładniej zwiedzić tak znakomitych miejscowości, w każdej trzeba było z poznania wielu obiektów zrezygnować. Ale wiadomo, gdzie są – do poznania w przyszłości. Tak było z podziwianą z odległości i przekraczaną kilka razy doliną Noteci czy niewielkiej Nielby, z licznymi jeziorami. Podziwiane były już nie farmy, ale parki elektrowni wiatrowych w gminie Margonin, złożone z około stu wirujących ruchomych elementów krajobrazu.

Tym razem wybór organizatorów, czyli *pleno titulo* Zarząd Wielkopolskiego Klubu PK, padł na powiat wągrowiecki, czyli na krainę Pałuk i jej bliskie sąsiedztwo. O krajoznawczych walorach tej osobliwej krainy stanowi kilkadziesiąt najcenniejszych obiektów, czyli parków podworskich, kościołów, pałaców, zabytkowych domostw, pomników przyrody i krajobrazu, sprawnych firm i gospodarstw rolnych, pomników upamiętniających często zwycięskie bitwy powstania wielkopolskiego. Tradycyjnie wędrowka autokarowa ze sprawnym sternikiem autokaru Eugeniuszem, skończyła się w rezerwacie meteorytowym w Morasku opodal Poznania.

Nie zamierzam pisać protokołu z przebiegu XVII Forum, ale kilka znakomitości określanych jako obiekty krajoznawcze najwyższej kategorii, w stanie *in situ* wypada wymienić. Na początkowe spotkanie uczestników organizatorzy wyznaczyli miejsce niezwykle, osobliwe, nowoczesne, jeszcze mało znane, bowiem oddane do użytku 30 kwietnia 2014 roku pod nazwą „Brama Poznania”. Rządziej będzie wymieniana jego pełna nazwa: Interaktywne Centrum Historii Ostrowa Tumskiego (ICHOT) na Śródcie. Jest to centrum kulturalne i jednocześnie edukacyjne, z tarasem widokowym na panoramę Poznania i okolic, połączone „na styk” ze starożytnym Ostrowem Tumskim, a w dodatku położone nad Cybiną (ledwo cieknącą – ach, te upały!). A jakby tego było mało to „Brama Poznania” jest nowoczesnym elementem Traktu Cesarsko-Królewskiego okazującego dzieje Poznania.

Na trasie w kolejnych dniach XVII Forum „Pałuki 2015” była okazja do wycieczki górskiej – na Dębową Górę (114 m n.p.m.) nad rozległą doliną Noteci. W Owińskach poznaliśmy Park Orientacji Przestrzennej w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym dla Dzieci Niewidomych, stworzony w większości z elementów przyrodniczych. Była też okazja do poznania Muzeum Kultury Ludowej w Osieku, bogatego w zabytki z Wielkopolski i Krajny. W małej wsi Grocholin, pośród bujnego parku i starodrzewu, znajduje się klasycystyczny pałac z wieżą i pomnikowy platan (obwód pnia 810 cm). W gminnej wsi Wapno nie sposób pominąć muzeum ukazującego jej chlubną przeszłość. Od 1911 roku jest znana dzięki kopalni gipsu, a w latach 1917-1977 zasłynęła z wydobywanej wysokiej jakości soli kamiennej. Historię kopalni zakończyła katastrofa górnicza – zalanie wodami podziemnymi i wielkie szkody górnicze – a potem zalanie z konieczności. Wapno to dziś jedna z najmniejszych gmin w Polsce.

Na Pałukach nie sposób pominąć Kcyni – miasta górującego nad doliną Noteci, na wzgórzu morenowym (136 m n.p.m.), którego początki sięgają XI wieku. Z miasteczka pochodził Jan Czochralski (1916-1953), syn stolarza, wybitny uczony, uznany w świecie za „ojca rewolucji elektronicznej” dlatego, że wynalazł metodę otrzymywania monokryształów i stworzył drogę do wytwarzania półprzewodników. Był przez wiele lat zapomniany, prześladowany (odebrano mu doktorat i prawo wykładowania w Politechnice Warszawskiej). Skromniutki, poświęcony mu „gabinet pamięci” znajduje się w Szkole Podstawowej jego imienia w Kcyni; przed szkołą stoi popiersie uczonego. Sejm RP uchwalił rok 2013 rokiem Jana Czochralskiego, a w 2011 roku Senat Politechniki Warszawskiej uchwalił „przywrócenie dobrego imienia” wybitnemu uczonemu i wynalazcy.

Pałuki mają stolicę w Żninie, starożytnym mieście z początkami osadnictwa sięgającymi epoki paleolitu. Współcześnie, dokładniej od 120 lat, miasto rozwinęło się dzięki powstałej w 1892 roku Powiatowej Kolei Wąskotorowej (rozstaw torów 600 mm). Dziś nie wozi ona węgla, cegieł i piasku na budowy, ani buraków cukrowych, czy nawozów sztucznych – jest atrakcją turystyczną (12-kilometrowa trasa Żnin-Wenecja-Biskupin-Gąsawa) z własnym rozkładem jazdy. W Wenecji można zwiedzać poświęcone jej Muzeum Kolei Wąskotorowej. Od 2002 roku Powiat Żniński i Gmina Gąsawa utworzyły Żnińską Kolej Powiatową Spółkę z o.o. Jest kolejka, jest „żelazny punkt programu” wycieczek dla dzieci i młodzieży, a więc „w jednym” – przygoda, zabawa, rozrywka i... lekcje krajoznawstwa i historii.

Tradycyjnie wypada podziękować za wsparcie organizatorów XVII Forum (ale tylko słowami, bez pomocy finansowej) Komisji Krajoznawczej ZG PTTK, a przede wszystkim Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Wielkopolskiego za pomoc finansową oraz wymienionym wcześniej społecznym działaczom-członkom Zarządu Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych za niepożyte siły. Wielkopolska *in situ* to cenny majątek krajoznawczy o kapitalnym znaczeniu w skali europejskiej.

Cele spotkania, czyli integrację działaczy krajoznawczych, a zarazem autorów licznych publikacji oraz poznanie walorów krajoznawczych północno-wschodniej części Wielkopolski – pełnej atrakcji i pamiątek historycznych krainy nad Wartą i Notecią – po raz siedemnasty osiągnięto. Przy okazji możliwe było odświeżenie znaczenia łacińskiego zwrotu *in situ*, który stosowany jest w archeologii, chemii, biologii, informatyce, geografii, a uczestnikom XVII Forum przypomniał się w podróży krajoznawczej. Co niniejszym poświadczam jako jej uczestnik, a zarazem członek-korespondent Wielkopolskiego KPK (z opłaconymi składkami, bez legitymacji).

Tomasz Kowalik

Nowości krajoznawcze Polski!

Okazuje się w ostatnich latach, że w wielu polskich miastach i ośrodkach stworzono zupełnie nowe lub ponownie udostępniono stare obiekty przeznaczone do powszechnego – ale też odpłatnego – oglądania. Jest ich kilka, odrębnych rodzajów, ale wszystkie stworzone w wyniku prywatnej inicjatywy kilku zainteresowanych osób lub organizacji.

Postaram się wymienić kilka z nich, co nie znaczy, że znam je wszystkie, raczej odwrotnie.

Typy i rodzaje nowych obiektów krajoznawczych:

1. Podziemne trasy miast historycznych i obiektów wojskowych, np. w Chełmie, Krośnie na Podkarpaciu albo w Szczecinie.
2. Parki miniatur, np. w Kowarach, Międzyzdrojach i w innych miejscach.
3. Parki dinozaurów i innych zwierząt dawno już wymarłych (jak choćby polski tur). Przykładem może być tu Bałtowski Park Jurajski.

Zwracali na to uwagę Instruktorzy Krajoznawstwa PTTK, uczestniczący w tegorocznym 46. CZAK-u w Międzyzdrojach, ale jakoś żaden z nich nie napisał o tych obiektach i jak dotąd brak w literaturze turystyczno-krajoznawczej choćby ich zestawień opisowych, czy mapy ogólnopolskiej z wypunktowaniem takich obiektów, wartych przecież zobaczenia.

Cechy charakterystyczne tych wszystkich obiektów są następujące:

1. Większość z nich powstała w ostatnim 20-leciu.
2. Większość powstała w wyniku tzw. prywatnej inicjatywy i jest prywatną własnością pojedynczych osób lub spółek.
3. Wszystkie prowadzą kasy i mają system biletowy.
4. W niektórych, tych większych powierzchniowo, jest także indywidualny przewóz odpowiednimi pojazdami mechanicznymi (np. Bałtowski Park Jurajski) lub dowóz do nich z sąsiedniej miejscowości (np. Bałtycki Park Miniatur w Międzyzdrojach).
5. Niektóre powstały w miastach, w których od władz uzyskały tylko poparcie organizacyjne lub współudział finansowy. Trudno zorganizować coś w mieście bez akceptacji władz miejskich!
6. Widocznie przynoszą wyraźne dochody właścicielom, skoro się rozbudowują i ulepszają. Ulepszanie polega na tym, że oferują małe foldery, składanki i inne formy reklamowe. To musi przecież kosztować.

Jako dobry przykład takich małych form reklamowych chciałbym podać kilka, jakie zebrali uczestnicy CZAK-u w sierpniu br. w Międzyzdrojach:

- „Bałtycki Park Miniatur w Międzyzdrojach”,
- „Wyspa Wolin i okolice. Atrakcja turystyczna”,
- „Centrum Słowian i Wikingów w Wolinie”,
- „Turystyczna Trzynastka. Najciekawsze atrakcje Dolnego Śląska”.

Taki oto krótki artykuł napisałem („na brudno”) w drodze powrotnej z 46. CZAK-u w Międzyzdrojach, z cichą nadzieją, że moi Koledzy z Kadry Instruktorskiej uważnie go w „Na Szlaku” przeczytają.

Równocześnie składam przyjacielskie podziękowania, pleno tytuło, Trójce Organizatorów 46. CZAK-u w tym 2016 roku.

Janusz Zaremba



To już trzynasty raz

Nie pierwszy już raz znalazłam się w styczniu w Sycowie na koncercie charytatywnym na rzecz Polaków na Wschodzie. Tym razem był to XIII Ogólnopolski Koncert Charytatywny Rodacy – Rodakom. Odbył się 23 stycznia 2016 r. o godz. 16⁰⁰, tradycyjnie w hali sportowej, w której powitał nas napis: „Niech pomyślność miasta rozkwita tak, jak zacność jego obywateli.

Każdy mógł wziąć udział w tej imprezie, bez potrzeby posiadania biletu (miejsca było dość) i obejrzyć przy okazji wystawę fotografii relacjonującą akcję ratowania polskich cmentarzy na Wschodzie

Cykl koncertów zapoczątkował trzynaste lat temu konsul generalny RP na Białorusi Krzysztof Świderek (prywatnie mieszkaniec Sycowa) wraz z władzami miasta. W tym roku Krzysztof Świderek i burmistrz Sycowa Sławomir Kapica prowadzili oficjalną część koncertu, witając przedstawicieli władz krajowych, wojewódzkich, samorządowych, Kościoła rzymskokatolickiego (w osobach biskupów z Kamieńca Podolskiego, Pińska i Kalisza) oraz ewangelicko-augsburskiego (w osobie biskupa z diecezji wrocławskiej).

Każdy z gości powitał nas ciepłym słowem, odczytaniem listu, żartem czy kolędą. Przedstawiciele władz przyjechali z paczkami dla Kresowiaków. Dotarło też z Anglii finansowe wsparcie akcji.

Przybyli, jak zwykle, uczestnicy Międzynarodowego Motorowego Rajdu Katyńskiego, ale przede wszystkim znane nam osobistości z TVP3 – red. Grażyna Orłowska-Sondej ze Studia Wschód oraz dolnośląska kurator oświaty pani Beata Pawłowicz, pomysłodawczyni i filar akcji „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”.

Taki koncert to uroczystość uaktywniająca cały Syców i okolice. Udział w niej biorą nie tylko miejscowe zespoły (tym razem aż 3). Zajęcie ma Urząd Miasta i Gminy, policja, straż pożarna, MOSiR, Centrum Kultury, „Gazeta Sycowska” oraz wolontariusze. Harcerze zbierają datki do puszek, jak to na koncercie charytatywnym. Władze Sycowa i Oleśnicy również dokładają swoją cegiełkę.

Panie z okolicy sprzedawały potrawy regionalne charakterystyczne dla Wschodu. Ktoś inny – płyty CD z patetycznymi pieśniami. Przede wszystkim sprzedawane były jednak kalendarze kresowe wspierające akcję „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”.

Tym razem można też było kupić piękne kalendarze z Sycowa, a na poprzednich koncertach – reprinty map dawnej Polski oraz książki o tematyce wschodniej.

Jako pierwszy z gości wystąpił 4-osobowy zespół Jednym Głosem z Mińska na Białorusi (skrzypce, akordeon, gitara) prezentując piękne kolędy i piosenki. Następnie dał koncert na saksofonie Antoni Gryniwicz ze Związku Polaków na Białorusi w Mińsku. Później swoimi brzmiącymi jak dzwoneczki głosami czarował nas zespół w pięknych strojach ludowych czyli Kwiat Podola z Ukrainy, z sobotnio-niedzielnej szkoły polskiej. W jego programie znalazły się kolędy i piosenki. Do tej pory jeszcze słyszę:

*Daleko, daleko, za górą, za rzeką
Przepiękna kraina, kraj rodzimy matki mej.*



Solistka z zespołu Czarne Perły zaśpiewała „Czerwony pas”, o tym, że „dla Hucuła nie ma życia jak na połoninie”. Dzieciaczki, które przyszły posłuchać koncertu, zaczęły tańczyć na widowni. Nic dziwnego – takie rytmy i do tego takim głosem śpiewane porywają, trudno wysiedzieć. Zabrzmiały też arie operetkowe, piosenki kabaretowe... Zakończenie jednak było najwspanialsze. Ta pieśń uważana jest obecnie za hymn Kresowiaków:

*Polsko moja,
Ty jesteś najpiękniejszy w świecie kraj!
Boże, proszę Cię, pobłogosław
Mą Ojczyznę, szczęście ludziom daj.*

Byliśmy bardzo wzruszeni, nadszedł czas na podsumowanie akcji „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”. To na koncercie w Sycowie pani redaktor Grażyna Orłowska-Sondej i pani kurator Beata Pawłowicz połączyły siły z konsulem Krzysztofem Świderkiem i razem rozpoczęły piękne dzieło opieki nad grobami Polaków i nad Polakami na Kresach: „Bo tam zostały sieroty po Polsce”. Panie dziękowały za pamięć o rodakach na Wschodzie.



Dolnośląskie dzieci raz w roku dają na tę akcję w szkołach symboliczną złotówkę. Trudno o lepszy element wychowawczy i poznawczy.

Ks. Biskup Leon Dubrawski z Kamieńca Podolskiego, który uczestniczył we wszystkich dotychczasowych koncertach, podsumował temat: „Kłękamy przed Bogiem, ale kłaniamy się tym wspaniałym paniom inicjatorom tej cmentarnej akcji, dziękując”.

Pani kurator Beata Pawłowicz ogłosiła 7. edycję akcji „Mogile pradiada ocal od zapomnienia” za otwartą. Akcja ratowania polskich grobów łączy się z nauczaniem tamtejszych dzieci języka polskiego – wolontariusze (ostatnio 600 osób) pracują na cmentarzach (jedni) lub uczą polskiego języka (inni).

Artysta z Warszawy pan Maciej Wróblewski śpiewał grając na gitarze:

*Zaszum nam Polsko
Jak husarskie skrzydła...*

Co za wspaniały tekst! Aplauz na stojąco. Były i następne piosenki, a na koniec: „Kto nie potrafi kochać ziemi swoich ojców, ten nigdzie nie znajdzie spokojnego kąta”.

Nastrój bardzo podniosły, bo jak ktoś zauważył: „Te koncerty to łącznik między Polakami a Polską”.

Mieliśmy też trochę muzyki z klimatu lat 60. i 70. już ubiegłego wieku. To Big for Band tak nas ożywił. Jeszcze chwila, a zaczęlibyśmy tańczyć. Nastrój przesympatyczny. Niestety, nadszedł czas powrotu. Szkoda, ale za rok będzie XIV koncert, mam nadzieję.

Maryla Gołaszewska

Lubiatowo – Dębki

Trasa: 17 km plażą. Uczestnicy: Basia, Zdzych, Marysia, Wojtek.

W sumie 3 razy szliśmy tą trasą, z czego dwa razy kończyliśmy w dworku w Bychowie.

Ten etap naszego wędrowania był inny niż dotychczasowe. Kiedy podjeżdżaliśmy do Lubiatowa, na niebie kłębiły się czarne chmury przepowiadając co najmniej 20 mililitrów wody na każdy „nasz centymetr kwadratowy”. Basia i Zdych pocieszali się, że nowo nabyte spodnie bhp nie przemokną zbyt szybko, a Wojtuś mamrotał w niebo, znane tylko sobie, zaklęcia. Zadziałały! Podczas startu do wejścia nr 40 zadziwił nas niesamowity hałas dochodzący od strony morza. Gdy po chwili znaleźliśmy się na plaży, zaparło nam dech. Woda kłębiła się, przelewała, rozbryzgiwała i obojętnie co by tu jeszcze napisać – takiej jej jeszcze na trasie nie widzieliśmy. Białe grzywy groźnie spiętrzały się, załamując z hukiem swoje amplitudy. Na horyzoncie wszystko mieszało się w granatowo-białą kipieli. Plaża prawie przestała istnieć. Woda zawładnęła piaskiem i zdecydowanie tu rządziła. Zostawiła nam łaskawie tylko wąski pasek lądu, który często okazywał się prawdziwym grzęzawiskiem. Ale reszta jej terytorium wyglądała przepięknie. Góry i doliny, jeziora i oczka wodne, rzeki i strumyki, a na niebie, jakby w symetrii, odbicie tego, co na morzu. Czarne chmury zniknęły.

Rozradowani, że nie kapie nam za kołnierz, nawet nie spostrzeżliśmy, gdy kolejno woda wdzierała się nam do... butów. Czyż można było jednak zwracać uwagę na drobiazgi, gdy natura serwowała takie widoki? Cóż tam, pół litra wody w bucie, gdy drugi był suchy! Wędrowaliśmy, a raczej kłuczyliśmy meandrując po różnych torach, raz bliżej, raz dalej od siebie, zastanawiając się kogo następnego dopadnie fala i odetnie drogę odwrotu. Najczęściej Basia wydawała okrzyki przerażenia, a panowie z godnością stawiali czoła niebezpieczeństwu. Tempo ich marszu sugerowało jednak, że lepiej nie oglądać się za siebie, bo może uda się przechytrzyć żywioł, a i przy okazji jakąś żonkę woda pochłonie choć na chwilę. Toteż dość szybko zniknęli nam z oczu, jakby wiatr popychał ich wiejąc w plecy, podczas gdy nas hamował wyraźnie. Osamotnione dotarliśmy na brzeg Lubiatówki. Panów już tam nie było, ale pozostawili dowody prawdziwej miłości. Zbudowali bowiem sękaty mosteczek na drugą stronę. Wzruszone do łez ufnie ruszyliśmy do przodu.



Ujście bezimiennej strugi w okolicy Orzechowa



Odcięcie przez fale

I chociaż konstrukcja okazała się mało stabilna, do butów dostało się tylko trochę wody. Uczucie wdzięczności tak bardzo przepełniło nam serca, że tym razem podtopienie przyjęliśmy ze śmiechem.

Pokonywałyśmy metr za metrem wypatrując mężów, by podziękować im za dzieło inżynierskiego geniuszu i tak wyraźny gest serca. W pewnym momencie Basia znalazła kilkumetrową linę i zarzuciła ją sobie na szyję. Tu okazało się, że kobieca intuicja nie ma granic. Nie trwało bowiem długo, gdy zdesperowana, choć mocno już zmęczona, ruszyła pędem do przodu. Patrzyłam i nie wierzyłam własnym oczom. W morskiej otchłani grozy co jakiś czas ukazywała się głowa Zdzisia, a Wojtek spokojnie siedział na wydmie i obserwował rezultat tego szaleństwa – uda się, czy się nie uda? Basia, jak konik morski czy pegaz, biegła na ratunek mężowi pokonując lęk i opór powietrza. Niestety, lina okazała się za krótka, ale widok oszałałej z rozpaczy i bólu żony pomógł Zdzisiowi dotrzeć do brzegu. Potem gorąca kawa z termosu i mała piersióweczka rozgrzewały naszego bohatera od środka. A że na plaży znaleźliśmy jeszcze kolorową piłkę, rozegrany na dystansie kilometra wesoły mecz, pozwolił Zdzisiowi przywrócić właściwą temperaturę w krwiobiegu.

Niebo coraz częściej przybierało lazurowy kolor odbijając swe błękity w mijanych jeziorkach. Wyglądało to bajecznie pięknie, toteż fotek zrobiliśmy wiele. W radosnym nastroju dotarliśmy do poważnej przeszkody w postaci rzeki Piaśnicy. Wojtek stał już po drugiej stronie i machał przyjaźnie pokazując kierunek poszukiwań, solidnego tym razem, mostu. Zdzisiu studiował zaś namiętnie mapę okolicy wypatrując kolejnych ciekawych tras. Do wyjścia nr 21 w Dębkach mieliśmy już tylko 1,5 kilometra. Ostatni odcinek przeszliśmy szczęśliwi we trójkę, bo Wojtek dotarł wcześniej do samochodu, gdzie włączył stoper, by naliczać nam opóźnienie. Było tego tylko 9 minut, toteż szef rozpogodził



Czasami warto choć trochę oderwać się od ziemi



Zabawa w morsa

swe oblicze i zaproponował obiad w Bychowie. Dworek spowity zachodzącym słońcem przywitał nas zupełną ciszą. Ale w środku sączyła się piękna muzyka, która natychmiast wprowadziła nas w marzycielski nastrój. Każdy odpłynął w sobie tylko znanym kierunku, by powrócić dopiero w momencie, gdy na stół wjechały: kaczką (nie wyborczą), gąską, dzik i dorsz. Marzenia mają to do siebie, że tak łatwo nie odpływają. Dlatego kontynuowaliśmy je jeszcze później przy kominku wspominając uroki mijającego dnia.

Maria Chróścicka

Rośliny Przedgórza Sudeckiego (2)

Dolina Małej Ślęzy:

Wójcin

Wzdłuż rzeki i potoku spływającego od Zarzycy, w wąwozie i na jego zboczach znajduje się bogate stanowisko **śnieżyczki przebiśniegu** (*Galanthus nivalis*), spotyka się tu również **kopytnika pospolitego** (*Asarum europaeum*), **konwalię majową** (*Convallaria maialis*), **pierwiosnkę wyniosłą** (*Primula elatior*) i **bluszcz pospolity** (*Hedera helix*).

Zarzyca

Na południe od wsi, w wąwozie potoku wpadającego do Małej Ślęzy w Wójcinie występują: konwalia majowa, **marzanka wonna** (*Asperula odorata*), a na skraju lasu krzew **kaliny koralowej** (*Viburnum opulus*). W tymże wąwozie na zachód od wsi rosną: bluszcz pospolity, konwalia majowa, marzanka wonna, a niżej **barwinek pospolity** (*Vinca minor*). Od wschodu, poniżej wsi, do wąwozu tego dochodzi kolejny, a w nim: **lilia złotogłów** (*Lilium martagon*), konwalia majowa, kopytnik pospolity, bluszcz pospolity. Niedaleko Kowalskiego, w dolinie Małej Ślęzy, również spotkamy stanowisko kopytnika pospolitego.

Maleszów

Na łące, na południe od wsi jest bogate stanowisko **zimowitu jesiennego** (*Colchicum autumnale*), podobnie na kolejnej łące – poniżej wsi, gdzie ponadto nad rowami zobaczyć można krzewy kaliny koralowej. Na prawym brzegu rzeki, na wschód od wsi, przy polnej drodze spotkamy okazy **centurii pospolitej** (*Centaureum umbellatum*).

Dolina Oławy:

Biały Kościół

Na zdewastowanym cmentarzu ewangelickim występuje bogate stanowisko bluszczu pospolitego z okazami kwitnącymi na drzewach. Na południe od wsi, między szosą a stawami napotkamy krzewy kaliny koralowej.

Biedrzychów

Na południowy wschód od wsi, w niewielkim lasku łęgowym rosną krzewy kaliny koralowej, a na śródleśnej łące – okazy **storczyka szerokolistnego** (*Dactylorhiza maialis*). Na zachód od wsi, na północ od szosy do Strzelina, na skraju niewielkiego lasu spotkamy ponownie krzewy kaliny koralowej.

Dankowice

Na tamtejszym cmentarzu rosną łany bluszczu pospolitego.

Kazanów

Na łakach nad Oławą w rozproszeniu występują: **pełnik europejski** (*Trollius europaeus*), storczyk szerokolistny i zimowit jesienny.

Skoroszwice

We wschodniej części wsi, w zaniedbanym sadzie, występuje pierwiosnka wyniosła, natomiast w parku – bluszcz pospolity i konwalia majowa. Na wschód od wsi, w lesie łęgowym, wzdłuż strumienia rosną: **śnieżyca wiosenna** (*Leucoium vernum*), śnieżyczka przebiśnieg, kopytnik pospolity, bluszcz pospolity, konwalia majowa, marzanka wonna, lilia złotogłów i **wawrzynek wilczeko** (*Daphne mezereum*).

Strzegów

W północno-zachodniej części wsi, na kamiennym murze okalającym zagrodę rośnie kwitnący okaz bluszczu pospolitego. (Cdn.)

Jerzy Załęski

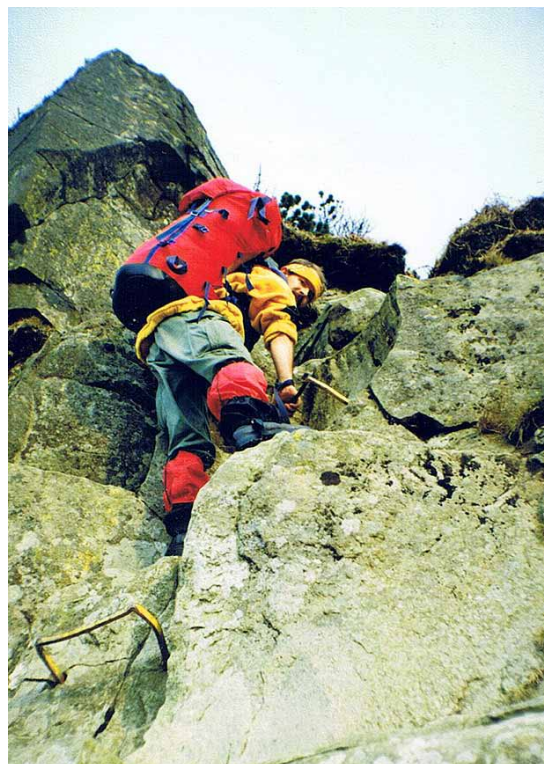
Orla Perć – „zabójczy szlak” (2)

Podsumowując: Orla Perć to szlak dla niemal dla każdego turysty, ale sprawnego, obytego z ekspozycją i odpowiednio przygotowanego do jego przejścia. Odpowiednie buty i ubiór, rękawiczki, autoasekuracja, kask, trochę jedzenia i termos z gorącym (nawet latem) napojem, czołówka, rezerwowa odzież w małym plecaku i rozsądek w głowie pozwolą na bezpieczne przejście Orlej. Tak niewiele, a tak dużo.

Memento. W sobotę 23 lipca o 8 rano ze Zmarzłej Przełączki Wyżnej spadł turysta i zginął na miejscu. To w poprzednim odcinku. Niestety, ciąg dalszy nastąpił. Kolejny tragiczny w skutkach wypadek w rejonie Orlej Baszty miał miejsce 8 sierpnia. Zginął doświadczony turysta. Spadł z 200 m do podstawy ściany. Warunki tego dnia były bardzo dobre. Przyczyną upadku w przepaść było prawdopodobnie zwykłe potknięcie. Na internetowej stronie TOPR roi się tego lata od informacji o zdarzeniach i wypadkach na tatrzańskich szlakach, tych trudnych i tych całkiem łatwych. Oto Sarnia Skala, licznie odwiedzany szczyt, dosłownie o krok od Ścieżki Nad Regłami. Spadła z niej turystka raniąc się dotkliwie i uszkadzając kręgosłup, a mogło być gorzej. Podobny wypadek miał miejsce w październiku 2014 roku, kiedy z Sarniej spadł jedenastolatek. Ot, chwila nieuwagi, skupienie jej na czymś innym, np. na kadrowaniu zdjęcia, jeden krok nie w tę stronę, co trzeba i nieszczęście gotowe. To na Sarniej, a co dopiero na większych wysokościach, na skalnych perciach Tatr Wysokich. No i dzieje się sporo, zwłaszcza w rejonie Orlej Perci i na szlakach łącznikowych. Tzw. „Nowy Zawrat” czyli niebieski szlak na Zawrat z Hali Gąsienicowej był miejscem wielu niemiłych przygód turystów. Co ciekawe, wypadki miały miejsce na łańcuchach, czyli tzw. ubezpieczeniach. Ujawnia się tu podstawowy błąd wielu wycieczkowiczów i turystów. Skoro są ubezpieczenia, to znaczy, że bezpiecznie pokonam szlak. No cóż, same „ubezpieczenia” bezpieczeństwa nie czynią. Na nic łańcuchy, gdy turysta się potknie lub poślizgnie, czy to na mokrej skale, czy to na drobnym kamiennym grysie leżącym na wyślizganej skale. Rzadko kto w mgnieniu oka chwyci łańcuch tak mocno, że pokona grawitację i trzymając się łańcucha utrzyma się na szlaku. Inna rzecz, czy wszędzie gdzie są łańcuchy są potrzebne – patrz Perć Akademików. Jaką rolę mają pełnić łańcuchy leżące na ścieżce? Po co na Czarnym Dziobie zamocowano dodatkowe klamry? Nie lepiej jest na pionowych drabinkach. Ich stopnie są mocno wyślizgane. Jedyłą radą jest zachowanie naprawdę wyjątkowej ostrożności i



Jesienne zejście z Zawratu



Perć bez łańcuchów – Czarny Dziób na Perci Akademików przed przebudową

koncentracji. Cała uwaga musi być skupiona na postawieniu kolejnego kroku, wszystko inne – podziwianie widoków, robienie zdjęć, rozmowa, muszą poczekać na chwilę, gdy turysta znajdzie się w odpowiednim miejscu – na szerszej ścieżce z mniejszą ekspozycją. Przerabiałem to kiedyś w Dolomitach, na *via normale* na Monte Antelao. Na skutek złej interpretacji opisu szlaku, cały sprzęt służący do asekuracji został w busie, a nasza ekipa zabrnęła tak daleko, że zejście zapowiadało się mało ciekawie. Mieliśmy naprawdę dużo szczęścia, że zleźliśmy z tej góry „bez strat w ludziach i sprzęcie”, jak mówią w wojsku. Do góry poszło bez problemów, tak jak małemu kotu wspinającemu się na wysokie drzewo, a na dół? Kota często zdejmują strażacy, my musieliśmy sami sobie poradzić. Wątpliwości pojawiły się już w nocy, kiedy poproszyło śniegiem. Jedna myśl nawiedziła ekipę – będzie ślisko. Na szczęście rano słońce poradziło sobie i podsuszyło górę. Póki schodziliśmy pochyłym, litym skalnym zboczem, nic wielkiego się nie działo, „schody” (a było w dół) zaczęły się na środkowej części drogi wiodącej pochyłymi półkami pokrytymi miałkim grysem. Jedno poślizgnięcie się groziło 100-metrowym lotem. Nieco lepiej było w dolnej części ściany, tuż nad piargami. Schodzi się tam niemal pionowo, jednak ukształtowanie terenu (kominki) i dość pewna skała dawały dobre oparcie dla nóg i rąk. Właśnie dopiero schodząc zauważyliśmy stałe haki do asekuracji tkwiące w ścianie i wtedy zrobiło nam się trochę głupio. Jakiś wniosek? Czytać uważnie opisy szlaków. Tymczasem tego lata, a dokładnie 12 sierpnia, Tatry przyprószył śnieg, temperatura spadła do zera, TOPR zamieścił ostrzeżenie o pogorszeniu warunków wysoko w górach, o tym że cienka warstwa śniegu może utrzymywać się jakiś czas w miejscach zacienionych.



Orla Baszta od strony Krzyżnego

Zaglądam do „sieci”. Nie brak tam zdjęć i filmików z górskich szlaków, z tych zwykłych beskidzkich ścieżek i z trudniejszych szlaków, choćby z Perci Akademików na Babiej Górze, z Orlej Perci, ze szlaku na Rysy i wielu innych. Ileż tam przykładów niewłaściwego zachowania turystów, niewłaściwego używania owych „ubezpieczeń”. Mam wrażenie, że podciąganie się na łańcuchach, wręcz wieszanie na nich, uchodzi za punkt honoru i pokaz sprawności turysty. Na drugim biegunie są turyści, a jest ich coraz więcej, idący na wysokogórskie szlaki z takim wyposażeniem, jak na dolomitowe *via ferrata*. Zresztą podobnie jak na „ferratach” zachowują się na szlakach. Wspinaczka przebiega w naturalny sposób, czyli z wykorzystaniem skalnych oparć i chwytów, a łańcuchy pełnią wtedy funkcję asekuracyjną. Jaka jest różnica między trzymaniem się rękami łańcucha a użyciem autoasekuracji? Taka, że w przypadku utraty chwytu trzymający się łańcuch od razu spada, a turysta w uprząży wpięty karabinkiem i pętlą (lonżą) co najwyżej zawisnie 1.5 m niżej i samodzielnie wydostanie się na perć, półkę, czy inny występ skalny.

Turysta używający autoasekuracji jest poza tym w znacznie lepszej sytuacji niż ten trzymający się ręką żelastwa. Można sobie pozwolić na nieco więcej, choćby na robienie ciekawych zdjęć, wypicie napoju, sięgnięcie do plecaka po kurtkę, itp.

Co jeszcze należy do letnich „atrakcji” na niektórych szlakach? Gigantyczne „węże ludzkie” na drodze do Morskiego Oka i na Giewont. Na tym szlaku, w jego najwyższych partiach trzeba bardzo uważać, żeby nie zostać zepchniętym ze śliskiej wapiennej perci przez napierające „członki” węża. Zdaje się, że w tym roku porządku wzdłuż „węża” pilnowali pracownicy TPN – nie dziwię się. Kolejka na tym szlaku dorównuje już tylko zatkanej „Zakopiance”, a jedno i drugie nie ma nic wspólnego z turystyką i podróżą. Amok, tylko tak można nazwać te zjawiska. Swoją drogą trzeba podziwiać ludzi chcących w tym uczestniczyć. Ileż trzeba cierpliwości, wytrwałości i uporu, żeby stać godzinami w słońcu na ścieżce lub w nagrzewającym się samochodzie. Ale to inna sprawa, choć jedno i drugie nie jest ani zdrowe, ani wygodne, ani bezpieczne, ani korzystne dla otoczenia przyrodniczego.

Juliusz Wysłouch

„Wuj”, czyli krajoznawca i współtwórca PTK (1)

Coraz trudniej przeniknąć mgłę niepamięci, by wywołać z przeszłości osobowość wybitnego współtwórcy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Akurat w 2016 roku przypadają dwie rocznice – sto pięćdziesiąta urodzin Aleksandra Janowskiego oraz sto dziesiąta jednego z jego największych dokonań. Wszak Polskie Towarzystwo Krajoznawcze to ogromna część polskiej kultury, a „Wuj” to wielki krajoznawca, samouk, pisarz, przyrodnik, geograf, przewodnik, podróżnik, wychowawca i nauczyciel kraju ojczystego, choć z wykształcenia tylko mechanik kolejowy.

Bez obawy o nadmiar uznania i wyliczania jego niezwykłych w swoim czasie dokonań, wypada podkreślić, że niemal wszystkie dzieła i prace były skutkiem jego twórczego myślenia o kraju ojczystym, obfitej i różnorodnej przyrodzie, historii, konieczności zjednoczenia ziem pod zaborami, wychowaniu – nie tylko młodzieży – w duchu patriotycznym. Nie mam pewności, czy w działaniach publicznych Janowski kierował się wskazaniem Stanisława Staszica, poznającego kraj i jego bogactwa przez wędrowanie – *Moralnej nauki poręką jest historia krajowa. Tę każdy obywatel najpierw umieć powinien... Pierwszą książką, którą w rękę weźmie niech będą dzieje tych ludzi, z którymi żyć mu potrzeba, by nikt nie ubiegł nas w poznawaniu własnej Ziemi* – i Komisji Edukacji Narodowej (1773-1794) – należy w wychowaniu dążyć, aby uczniowie *naprzód znali swój kraj, a potem sąsiedzkie, bliskie*.

Janowski jako 19-latek czytał namiętnie wszystko, co dziś nazywamy literaturą krajoznawczą, był nietypowym samoukiem, i w swoim czasie jeszcze nietypowym *homo viator*, czyli człowiekiem wędrującym. Dewizą „Wuja” stały się słowa Zygmunta Glogera: (...) *na drodze każdego podróżnika leży jego kraj rodzinny, który poznać najpierw i najlepiej jest jego obowiązkiem*. Więc poznawał najpierw okolice Jury i Śląsk, a niebawem Warszawę, Kujawy, Góry Świętokrzyskie, Łowickie, Kielce, Kalisz, Chęciny, Kazimierz, Nałęczów, Sandomierz. Nie pomijał takich obiektów krajoznawczych, jak kamieniołomy, browary, cegielnie, huty, garbarnie, młyny.

To była przędza do tkania opisów i wskazówek praktycznych zawartych w czterech tomach pionierskich podręczników Janowskiego „Wycieczki po kraju” wydawanych w latach 1898-1903. Czytelnicy i znawcy literatury turystycznej twierdzą, że w dziejach polskiego krajoznawstwa te publikacje uznano za *przewodniki turystyczno-krajoznawcze dla szerokiego ogółu, ułatwiające tanie wycieczki, wzbogacające umysł w wiedzę o przeszłości i teraźniejszości ziemi ojczystej, kształcące uczucia patriotyczne*. Zarazem był to punkt wyjściowy do działalności publicznej Janowskiego. Wybitny turysta i krajoznawca cierpiał na lęk przestrzeni, podobnie jak Bolesław Prus, który w ten sposób wszedł i twórczo poszerzył drogę, którą przed nim przemierzali Stanisław Staszic, Eugeniusz Janota, Ludwik Zejszner, Kazimierz Kulwieć, Zygmunt Gloger, Mikołaj Wisznicki, Seweryn Goszczyński,



Aleksander Janowski

Wincenty Pol, Hugo Zapalowicz, Tytus Chałubiński, Walery Eliasza-Radzikowski, a także Michał Rawa-Witanowski, Adam Chętnik, Aleksander Maciesza, Tadeusz Włoszek oraz jemu współczesny, ale przede wszystkim „górski”, Mieczysław Orłowicz. Za wielki sukces trzeba uznać wydawanie „Ziemi”, w czym Janowski miał znaczący udział, bowiem już w 1909 roku – a więc w trzecim roku działalności PTK – w wycieczkach wzięło udział ponad 7 tys. osób.

Przełom polityczny na ziemiach pod zaborami nastąpił zaraz po rewolucji rosyjskiej w 1905 roku. Słabnąca kontrola carskich władz w Królestwie wyzwoliła nie tylko żądanie łagodzenia rusyfikacji, ale wnet doprowadziła do jej całkowitego załamania. Na tej fali powstały: w 1906 roku Polskie Towarzystwo Krajoznawcze; we Lwowie, za zgodą władz Galicji, Akademicki Klub Turystyczny; w Kongresówce dodatkowo Warszawskie Towarzystwo Naukowe, Towarzystwo Miłośników Historii, Towarzystwo Miłośników Przyrody. Projekt statutu PTK opracowała Komisja Przyrodnicza Polskiego Towarzystwa Ogrodniczego, w czym główne role odegrali Aleksander Patek, Kazimierz Kulwiec i Aleksander Janowski.

Symbolem o ogromnym znaczeniu ideowym był znak PTK: w polu środkowym widnieje sylwetka zamku w Ogrodzieńcu, a na obwodzie – herby Warszawy, Krakowa i Poznania, symbolizujące zjednoczenie ziem polskich pozostających od 123 lat pod zaborami.

Projekt znaku opracował Mikołaj Wisznicki – wybitny w swoim czasie rysownik i krajoznawca, malarz, ilustrator „Ziemi”, autor wielu serii pocztówek krajoznawczych, przewodniczący Komisji Fotograficznej PTK. Zwróćmy uwagę, że działo się to na dwanaście lat przed odzyskaniem niepodległości po I wojnie światowej, symbolicznie nazywanym powrotem Polski na mapę Europy!!!

Pasją „Wuja” były nie tylko zespołowe wycieczki z młodzieżą szkolną i studentami, popołudnia krajoznawcze w jego mieszkaniu, ale też liczne publikacje popularnonaukowe, czy odczyty publiczne z pokazami przeźroczy i fotografii jego autorstwa (wykonywanych w czasie wycieczek za pomocą skrzynkowego aparatu zwanego „Karolinką”). Ten zapał i umiejętności popularyzatorskie doceniły warszawskie władze oświatowe i w 1912 roku Janowski został etatowym nauczycielem... geografii, co stało się świetną okazją do popularyzacji krajoznawstwa i organizowania wycieczek z setkami uczniów.

Wybuch I wojny światowej w sierpniu 1914 roku zastał Janowskiego w podróży dookoła świata, w Japonii. Zanim latem 1915 roku nastąpiła niemiecka okupacja Warszawy, Janowski wrócił do kraju i objął stanowisko w Komisji Zająć Pozaszkolnych i Wychowania Fizycznego w Komitecie Obywatelskim Wydziału Oświecenia Publicznego miasta stołecznego Warszawy. Pomimo warunków okupacyjnych i wojennych Janowski tak „rozkreślił” odczyty z przeźroczy, pogadanki krajoznawcze, wycieczki, zajęcia świetlicowe z bajkami dla najmłodszych, że siedziba PTK „pękała w szwach”. Wielce imponujące są liczby. W ciągu półrocza 1915-1916 działały 22 ogniska-świetlice, w wycieczkach wzięło udział ponad 30 tys. młodzieży szkolnej, w pokazach filmów i przeźroczy ponad 14 tys., w pogadankach i odczytach krajoznawczych łącznie ponad 190 tys. młodych słuchaczy.

Jeszcze w 1913 roku w pracy „Poznaj swój kraj – Ziemia rodzinna” Janowski opisał przyszły kształt Polski: wschodnia granica na Bugu, zachodnia na Odrze. W 1915 roku ukazała się książeczka Janowskiego „Pierwiastek narodowy w nauczaniu geografii”, w której wyraził pogląd, że zdobytą wiedzę krajoznawczą należy wykorzystać dla pomyślności kraju. Natomiast w zbiorze pogadanek krajoznawczych „Duch Warszawy” z 1917 roku napisał: *...Warszawę, jako symbol niepodległości zbliżać należy do serc Polaków, na jej przykładzie uczyć dziejów narodu polskiego*. W trzydziestu „Pogadankach krajoznawczych” z 1917 roku zawarł swoisty zestaw wiedzy o kraju rodzinnym. Pisał o Bałtyku, Karpatach, Tatrach, Gople, o bogactwach naturalnych, lasach, życiu ludu polskiego, o Kurpiach, Kaszubach, Księżakach, o Łodzi, Poznaniu, Gdańsku, wsi rybackiej – Gdyni, ale też o sąsiadach – Litwie i Rusi.

Zaraz po odzyskaniu niepodległości powołano Janowskiego do pracy w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Objął już w 1918 roku odpowiedzialne stanowisko naczelnika Wydziału Oświaty Pozaszkolnej. Od 1922 roku pełnił obowiązki wiceprezesa, a niebawem prezesa Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. W tym samym czasie Mieczysław Orłowicz był naczelnikiem Wydziału Turystyki i Sportu w Ministerstwie Robót Publicznych. W ten sposób znaleźli się na tej samej drodze kultury, krajoznawstwa i turystyki.

Cdn.

Tomasz Kowalik

Wspomnienie o zmarłych (cz. 3)

55. rocznica śmierci Jędrzeja Marusarza Jarzábka

Urodzony 28.07.1877 r. w Kościelisku, zmarł 1.10.1961 r. w Zakopanem. Góral podhalański, przewodnik tatrzański, cieśla, ratownik górski.

Był jednym z najpopularniejszych przewodników tatrzańskich. Uprawnienia przewodnika III klasy otrzymał w 1904 r., II klasy w lipcu 1905 r., a I klasy we wrześniu 1905 r. Przed I wojną światową należał do najaktywniejszych wspinaczy, a jako przewodnik działał do starości, nawet jeszcze po II wojnie światowej. Od 1911 r. jeździł w Tatrach także na nartach, a do 1939 r. pracował jako przewodnik narciarski. J. Marusarz Jarzábek należał do najbardziej czynnych ratowników tatrzańskich. Od początku istnienia Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego w 1909 r. był członkiem tej organizacji, przez długi okres pełnił w niej funkcje zastępcy kierownika i wiceprezesa zarządu.

Był uczestnikiem licznych wypraw, m.in. pod Mały Kościelec po Mieczysława Karłowicza (1909 r.), na Mały Jaworowy Szczyt po Stanisława Szulakiewicza i Klimka Bachledę (1910 r.), czy na Galerię Gankową po Wincentego Birkenmajera (1933 r.).

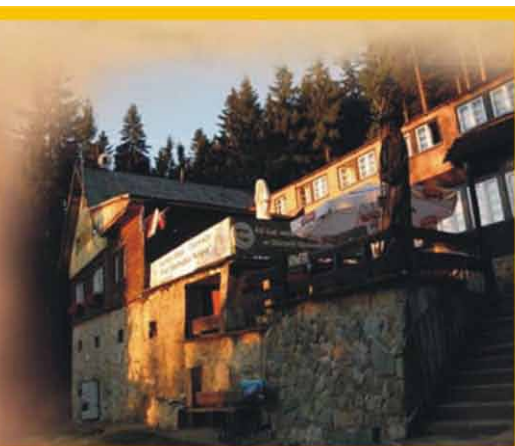
Po II wojnie światowej pracował jako cieśla przy odbudowie zamku w Niedzicy, Dworku Mośniaków w Zubrzycy Górnej i kościołów w Białce Tatrzańskiej i Dębnie. Wyznaczał również szlaki turystyczne w Tatrach i pracował przy budowie zakopiańskich domów. Jego imieniem nazwano dwa obiekty w Tatrach: Marusarzową Turnię i sąsiadującą z nią Marusarzową Przełęczkę. Jędrzej Marusarz Jarzábek został wyróżniony licznymi odznaczeniami GOPR, TOPR, PZN i PTTK. Był honorowym członkiem TOPR (1945 r.), Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (1948 r.) i PTTK (1950 r.).

Jest pochowany na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku. Jego synami byli Stanisław (przewodnik tatrzański), Andrzej (narciarz i przewodnik) i Józef (narciarz i architekt), a bratankiem Stanisław Marusarz, narciarz i czterokrotny olimpijczyk.



Andrzej Rumiński

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnośtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Dwie Damy Królewskiego Pałacu „Nowy Dwór” w Kowarach

Kilkaset tysięcy turystów (a może już milion?) rocznie odwiedza Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska w Kowarach, nie zawsze wiedząc, że nieopodal znajduje się pałac „Nowy Dwór”. Ale mają prawo nie wiedzieć. Obiekt nie jest udostępniony do zwiedzania. Stanowi własność dr n. med. Janiny Małgorzaty Pernak de Gast, która jest pierwszą bohaterką książki *Dwie Damy Królewskiego Pałacu «Nowy Dwór» w Kowarach*. Za jej sprawą pałac odzyskał indywidualny rys siedziby rodowej. Drugą bohaterką dzieła jest księżniczka Feodora von Reuss – dawna właścicielka „Nowego Dworu”, cierpiąca na porfirię prawnuczka brytyjskiej królowej Victorii (1819-1901), wnuczka cesarza Niemiec Fryderyka III Hohenzollerna (1831-1888).

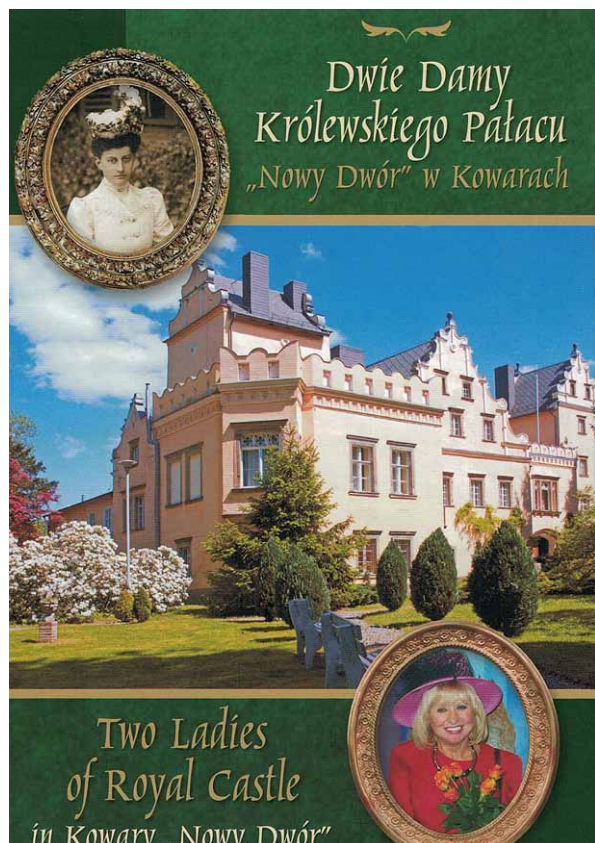
Za *Dwie Damy...* odpowiada zespół trzech autorów. Wojciech Kapalczyński przybliży lokalizację i architekturę „Nowego Dworu”. Bada historię legendarnej, kowarskiej strażnicy rycerskiej, która mogła znajdować się w pobliżu pałacu. Krzysztof Sawicki przedstawia dzieje rodu książęcego Reuss i rodziny królowej Victorii oraz sylwetkę Feodory, z domu księżniczki Sachsen-Meiningen. Małgorzata Potoczak-Pelczyńska przybliży biografię drugiej z dam – Janiny M. Pernak de Gast, która w „Nowym Dworze” zakochała się od pierwszego spaceru po przypałacowym parku.

Z książki dowiadujemy się, że obie damy łączy miejsce („Nowy Dwór”), samotność i ból. Feodora czuła się samotna po stracie dziadka, podczas gdy jej mąż służył w okopach na froncie zachodnim I wojny światowej, J. M. Pernak de Gast czuje się samotna, odkąd straciła siostrę, a choroba jej męża wymagała jego pobytu w Holandii. Chorej na porfirię Feodorze przez całe życie towarzyszyły częste przeziębienia, migreny, bóle głowy i wymioty. Nie mogła mieć dzieci. Leczyła się w klinikach i przebywała w sanatoriach, m.in. kowarskim „Bukowcu” i „Wysokiej Łące”, aż do tragicznej śmierci 71 lat temu. Z kolei obecna właścicielka pałacu, łącząc naukę ze sztuką, specjalizuje się w leczeniu przewlekłego bólu. Kiedyś leczyła go w Delft w Holandii, teraz w Warszawie.

Na szczególną uwagę zasługują ilustracje zawarte w książce. Dzięki nim możemy zobaczyć wnętrze „Nowego Dworu”, co nie było dane nawet Markowi Staffie, piszącemu o Kowarach w *Słowniku Geografii Turystycznej Sudetów*.

Lektura *Dwóch Dam...* zajmuje ok. 2,5 godz., więc książkę spokojnie można przeczytać, jadąc pociągiem z Wrocławia w Karkonosze. Dzieło jest warte polecenia, szczególnie wobec braku możliwości zwiedzania „Nowego Dworu”. A po lekturze warto przejść się aleją im. Feodory von Reuss i zobaczyć dwie krypty w Kowarach-Wojkowie, w których spoczywają Feodora i jej mąż, książę Heinrich XXX Reuss oraz jego siostra Maria Klementyna hrabina Witzleben-Doerern.

Zbigniew Piepiora



K. Sawicki, M. Potoczak-Pelczyńska, W. Kapalczyński, *Dwie Damy Królewskiego Pałacu „Nowy Dwór” w Kowarach*, Wyd. AD-REM, Jelenia Góra 2016, 160 s.

Jak Gdańsk nawiązuje do 19-wiecznej tradycji?

Trzy są miasta w Polsce totalnie zniszczone podczas II Wojny Światowej: Warszawa, Wrocław i Gdańsk. No i może jeszcze Jasło. Dlatego warto zwrócić uwagę, jak właśnie Gdańsk – niezależnie od tego, jak się odbudowuje i modernizuje – zwraca uwagę na swój historyczny wygląd.

Prezentowana pocztówka, nawet z tekstem pisanym po niemiecku, pokazuje oryginalny wygląd Starego Miasta Gdańska w wydaniu naszym, polskim, współczesnym. Autorem barwnej publikacji jest Niemiec H. Rausch. Firma wydawnicza GEDANUM robi dobrą artystyczną robotę!

Janusz Zaremba



Widok Gdańska w 1900 r.

Przewodnik do rozpoznania roślin i zwierząt na wycieczce

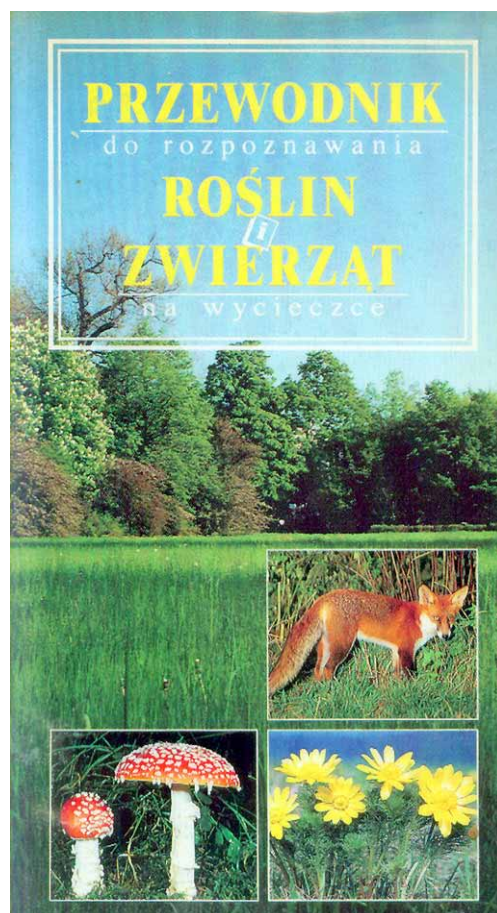
Na każdej niemal wycieczce mamy możliwość poznania okazów przyrody – fauny i flory. Ta książeczka formatu 10x18 cm jest godna polecenia. Na ostatniej stronie okładki czytamy: „Takiej książki jeszcze nie było! Pierwszy na rynku polskim przewodnik pozwalający poznać w całej pełni bogactwo naszego środowiska naturalnego. Przedstawia 550 gatunków roślin i zwierząt:

- grzyby, mchy, paprocie oraz rośliny kwitnące z uwzględnieniem drzew i krzewów;
- małże, ślimaki, pająki, owady, ryby, płazy i gady, ptaki oraz ssaki.

Każdy opis został opatrzony fotografią wykonaną z natury.”

Tytuł oryginału: *Der BLV Tier- und Pflanzenführer für unterwegs*. Całość opracowali: *Wilhelm i Dorothee Eisenreich*. Tekst: *Ute E. Zimmer, Alfred Handel*. Przekład: *Ewa Rachańska i Piotr Kreyser*. Redaktorzy wydania polskiego: *Aleksandra Dominiewska, Aleksandra Zduńska*. Redaktor techniczny: *Katarzyna Francisz*. Oficyna Wydawnicza MULTICO Warszawa 1993.

Andrzej Rumiński



Tego jeszcze nie było!

Przewodnik dla dzieci w wieku od 6 do 10 lat po Gdyńskim Szlaku Edukacyjnym.

Zwróciłem uwagę, bo na słowo „przewodnik” jestem uczulony.

Publikacja została zrealizowana, w styczniu 2016 roku, ze środków Gminy i Miasta Gdyni. Projekt Gdyński Szlak Edukacyjny zawiera:

- przewodnik dla dzieci w wieku od 6 do 10 lat, *Poznaj Gdynię z Rybką Gdynką*,
- informator dla nauczycieli i opiekunów,
- prezentację multimedialną,
- dodatkowo wszystkie materiały dostępne na stronie www.gdynia.pl.

Zeszyt dużego formatu 20,5x28,5 cm, 16 stron z twardego papieru, zawiera treść bardzo zróżnicowaną. Od planu centrum Gdyni na którym (na rozkładówce) pokazano trasę poruszania się osoby zwiedzającej i 12-punktowy opis do tego planu, aż po 15 zgadywanek, od zupełnie prostych, aż do trudnych, bo dotyczących historii Gdyni. Rozwiązanie całości wymaga też kolorowania kredkami i wyklejania wyklejankami zawartymi w zeszytce.

Istotą całej dziecięcej zabawy jest to, że całości zeszytu od punktu 1 do 10 nie da się rozwiązać bez osobistego przejścia wyznaczonej na planie trasy zwiedzania i szczegółowego poznania dwunastu elementarnych obiektów miasta Gdyni. Jest więc dużo chodzenia i poruszania się w terenie, ale też dużo literowych zgadywanek i naklejanek (rybek), jak się coś już odgadło.

Mający charakter albumu duży zeszyt zawiera także inspirację dla młodego uczestnika zabawy do wysyłania pocztówek z pozdrowieniami z Gdyni – jak to turysta! Jest to oryginalna kartka pocztowa, drukowana dwustronnie „Pozdrowienia z Gdyni”, wystarczy napisać adres i przykleić znaczek.

Są także dwie wyklejanki w formacie 100x150 mm, które jednak trzeba dopiero nakleić na kartoniki i wtedy mogą być przydatne do wysyłki w kopercie.

Słowem duża i wielokierunkowa zabawa.

Podsumowując – album ten (bo jest to album) ma podwójny sposób wykorzystania. Z jednej strony jest typowym przewodnikiem z planem trasy zwiedzania i opisem oglądanych obiektów, a z drugiej jest stabilną szaradą i wyklejanką, którą można się bawić w domu, przy stole. Czyli podwójna zabawa dla młodszych i starszych dzieci.

Taka publikacja na rynku księgarskim, ale i w kręgach krajoznawców jest absolutną nowością, a czy przyjmie się wśród małoletniej młodzieży – czas pokaże.



Poznaj Gdynię z Rybką Gdynką, wydawnictwo: Gdynia moje miasto, rok wyd. 2016. Praca zbiorowa: Zespół 3 nauczycielek ze Szkoły Podstawowej nr 40 w Gdyni

Janusz Zaremba

Skąd jestem?

Pytasz: - skąd jestem? Jestem z tego kraju,
Gdzie wiatrów wiosennych chłodniejszy wiew,
Gdzie wschody słońca srebrem haftowane
I bardziej rzewny, wieśniaczy śpiew.

Jestem z tych łąk, z tych pól przestrzennych,
Gdzie polną mogiłę znaczy szary głaz
I partyzancką, starą kołysankę
Wciąż jeszcze szemrze Rudnicki Las.

Jestem z Ojczyzny, co dzieci swoje znaczy – tułaczy los,
Nigdzie nie dając szczęścia przystani
I owijając nutą nostalgii –
A to ich śmiertelny cios!

Jestem z męczeńskiej, podwileńskiej ziemi,
Każdy ją targa jak własność swą,
Bo korzeniami od wieków wrośniętych
Jakieś przybłędy wykorzenieć chcą!

Jestem z krainy, gdzie gleba to piasek,
Kamień, Ojcowskie prochy, Modlitwa,
I tonie leż.

Zagrody wiejskie to strzęp lachmana –
To nie rosyjska, nie białoruska, ani litewska –
To polska, podwileńska ofiarna wieś!

I choć strzelają w nią pioruny czasu,
Wrogie chmury strzepią i rwą,
Stoi jak mocarz ta twierdza nasza,
Bo Ostrobramska czuwa nad nią!

Barbara Sidorowicz

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Andrzej Rumiński**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**
Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931